

KRZYŻ NA LITWIE.

Wyjątek z obrazka lirycznego.

Teatr przedstawia twierdzę kowieńską. Jordan, stary kapłan polski stoi na wałach i przygląda się zdaleka walczącym litwinom i krzyżakom.

JORDAN (sam):

Istny dzień sądu, bój trwa cztery doby,
Już krwią przesiąkła kowieńska dolina,
Krzyżak wyczerpał ostatnie sposoby,
I żmódz nie zdoła mężnego litwina.
Daremnie biją tarany olbrzymie,
Próżno po trupach krzyżactwo się wdziera,
Przedmieścia były w płomieniach i dymie,
Lecz Kowno dotąd bram swych nie otwiera,
Bo wściekły gniewem i szałem rozpaczy,
Litwin przemocy stawia opór dzielny!

(po chwili spoglądając znowu na walczących)

Rycerze krzyża! inaczéj, inaczéj
Walczył z pogany wasz mistrz nieśmiertelny!
Nie tym płomieniem co mieni kraj w zgliszcza,
Nie onym mieczem, co toczy krwi zdroje,
Lecz świętym ogniem co ducha oczyszcza,
On ugruntował Boskie słowo swoje
I na wiek wieków z krzyża majestatu,
Prawem miłości zapanował światu! (patrzy znowu)
Otóż i walka stanowczo się waży,
Krzyżak odparty w popłochu ucieka,
Szczęśliwy Litwin! on stoi na straży
Domowych ognisk, kiedy ja zdaleka
Od méj drużyny i od ojców ziemi
Bezczynny jeniec, trawię dni z obcemi! (po chwili)
Prawda że cierpię sam jeden sierota,
Że pierś stęsknioną srogi ciśnie ból,
Gdy ludzka przemoc zaparła mi wrota,
Do mych zielonych, nadwiślanych pól,
Lecz ja w tém wielbię wyroki Twe Chryste,
Bo bez Twéj woli, komuż spadnie włos,
Wszak i tu ziarno Twéj prawdy przeczyste
W sercach Litwinów, wschodzi na mój głos.
Wnet sława krzyża rozgrzmi w Litwie całéj,
Wtedy rad zstąpię w mój grobowy dół,
Bom i ja w wieniec Twéj przedwiecznéj chwały
Ubogą ręką jeden kłosek wsnuł.

SCENA IIga.

JORDAN — ARCYKAPŁAN.

Przecież tu Ciebie znalazłem Jordanie,
Długom cię szukał, bo myśl ma niezdoła
Wybiedz nad ciemne zwątpienia otchłanie
O własnéj mocy, i jak ta jemioła,
Co, kiedy wicher dmie siłą wzburzoną
W krąg się owija o pień dębu stary,
I ja przychodzę bracie, na twe łono
Wylać ból serca i zaczerpnąć wiary
W twém dzielném słowie.

JORDAN.

Niech łaska promieniem
O ciemny starcze, rozjaśni ci ducha,
By światło prawdy przemogło nad cieniem.

ARCYKAPŁAN.

Pierś ma Jordanie wytlona i sucha,
Pragnie w rzeźwiącym ochłodzić się zdroju,
Jak kłos na skwarnéj przepalony roli,
Duch skołatany chce spocząć w pokoju.

JORDAN.

Pokój na ziemi ludziom dobréj woli.

ARCYKAPŁAN.

Wszak dobréj woli nie brak mi, o bracie!
Czemuż niepokój myśl ustawnie burzy,
Już znieważone w swoim majestacie
Bogi Litewskie nie starczą mi dłużéj,
A jednak przeszłość siłą nieprzepartą
Serce pociąga, budzi zamęt w głowie,
O! gorzko myśleć że cześci nie warto
Wszystko, w co starzy wierzyli ojcowie,
Że ta osnowa podań szczerozłota,
Spojona wieków trwałemi ogniwy,
Wyssana z mlekiem, — to kłamstwo — garść błota.

JORDAN.

Wszystko to złuda! Bóg jeden prawdziwy.

ARCYKAPŁAN.

Mamże tę przeszłość precz odtrącić całą
I kląć bluźnierczo prochy ojców w grobie?

JORDAN.

O nie! ich błędy okupić przystało,
Sąd zaś należy Bogu — a nie Tobie.
Siłaż odpuści Pan, w łasce bez miary
Tym, których oko mgłą grubą przyćmione,
Nie mogło nigdy po promieniach wiary
Sięgnąć w obszary niebios nieskończone,
Lecz ten kto zaznał odblask światła Boży,
Kto jak ty starcze, raz myślą był w niebie,
Gdy w obec prawdy w proch się nie ukorzy,
Pan go na wieki odtrąci od siebie.

ARCYKAPŁAN.

Ach! skoro Bóg Twój przebaczy w miłości
Mych starych ojców ślepotę dziecinną,
Skoro mi wolno, czcić prochy ich kości
Pragnę go poznać!.. lecz jak?

JORDAN.

Ach! nie inną
Poznasz go mocą, jak tą która spływa
Z krzyża, modlitwy cudem wywołana —
(wznosząc ręce do góry)
Boże! z twéj łaski nowy plon do żniwa
Którym ci zebrał!
(do Arcykapłana)
Módlmy się do Pana!
Módlmy się razem...

ARCYKAPŁAN.

O tak! jam gotowy.
Cóż to? czy ręka Bożego anioła
Kamień z méj piersi odwala grobowy?
W koło mnie jasność...

JORDAN.

Bracie! to Pan woła.
Idź za tym głosem i korną modlitwą
Błagaj zbawienia nad tobą i Litwą.

ARCYKAPŁAN.

Wszakże mi dotąd nieznane te głoski
Któremi wierny ma wołać do Pana.—

JORDAN (żywo).

Ja cię nauczę jak mistrz niegdyś Boski
Modlił się ojcu: Bracie, na kolana! (klękają oba)
Ojcze nasz! Panie, który jesteś w niebie
Niechaj Twe Imię świętym blaskiem chwały
Zaświeci ludom... i niechaj przez Ciebie
Boże królestwo spłynie na świat cały.
Bądź wola Twoja w niebie i na ziemi,
Dziś, nas łaknących karm żywota chlebem,
Odpuść nam winy, daj, niech ślady Twemi
Przebaczym drugim, pojednani z niebem.
A gdy pokusa powstanie nam w duszy,
Gdy nas w grzechowe pociągnie otchłanie,
Krzyż Twój niech pęta szatańskie roskruszy,
Zbaw nas od złego... błagamy cię Panie!

ARCYKAPŁAN.

W tych świętych słowach tkwi Boska potęga.

JORDAN.

A kto te słowa świętym stwierdzi czynem,
Tego modlitwa szczytu niebios sięga.
(Arcykapłan powstając i wznosząc ręce ku niebu),
Dzięki Ci Boże! jam Chrześcijaninem.
(rzucają się w objęcia).

Seweryna Pruszakowa.

ŻYWOT I PRACE NAUKOWE

WIELEBNÉJ MARJI ANTONINY.

Przy badaniu historji i literatury słowiańskiéj, a dziś właśnie czeskiéj, nieraz napotykam mniéj znane postacie z epoki odrodzenia narodu czeskiego, które zasługują na bliższe poznanie i to z rozmaitych względów, o których kiedyś może mi mówić przyjdzie. Jedną z takich postaci jest Marja Antonina. Dla nauki a może i wskazówki w życiu miłych czytelniczek moich, opowiem pokrótce jéj żywot, wraz z przytocze-

niem niektórych ustępów z jéj pism, nacechowanych dziwną prostotą, jakiéj już chyba szukać między powiastkami ludu, a przecież w onéj prostocie swéj, pełnych wzniosłości, uczucia i mocy.

Marja Antonina w skromnym zrodzona i wychowana zakątku; doznawszy jak to najczęściéj bywa zawodów w życiu, wstąpiła do klasztoru i tam oddając się z całą gorliwością nowo przyjętym obowiązkom, w cichości pracowała, nie myśląc może że ją czytać będą, lub pisać kiedyś o niéj. W całém znaczeniu tego słowa była kobietą, tak w życiu jak i w pracach swoich piśmiennych. Skromność i prostota prawie niewysłowiona — oto jéj cechy.— Owoż Marja Antonina jest jednym z tych duchów, co śród głuchéj ciszy zaczynają wydawać głos przenikający do głębi duszy. Wprawdzie w XIX już pisała wieku — lecz to dopiero początki były ruchu umysłowego w Czechach; zaledwo po zawiązaniu się błogiéj instytucji Muzeum Czeskiego — skąd jako z ogniska, miało kiedyś na cały rozchodzić się naród światło i ciepło ożywcze.

Marja Antonina, z dzieciństwa Jezusowego, (podpisująca się M. A. tudzież Dobrowlastka) z domu *Józefa Pedal*, urodziła się d. 18 Stycznia 1780 r. na Wyszehradzie, z ojca, którego żywym była obrazem, majstra garncarskiego, zamiłowanego w czytaniu. Rodzeństwo jéj składało się z sześciu sióstr i jednego brata. *W Serafce*, wydanéj r. 1826, tak o sobie pisze: „Serafka (ma się rozumieć Józefa) była pierworodną córką pobożnych rodziców. Ojciec jéj był człowiekiem więcéj zabiegliwym niż możnym. Będąc tylko rzemieślnikiem, żywił siebie i rodzinę swoję z pracy rąk własnych poczciwie; mając czysty, przestronny dosyć, własny domek z pięknym ogródkiem, w nim znajdował największą pociechę swoją. Matka Serafki również wolne chwile od pracy poświęcała owemu ulubionemu schronieniu, zabawiając się sadzeniem, opatrywaniem i podlewaniem warzyw potrzebnych do kuchni domowéj. Ojciec zaś rad oczyszczał drzewka i kwiatki. Spokojność, zgoda, miłość panowały między niemi; przeto też błogosławił im Bóg, że nie potrzebowali czuć niedostatku, choć im i zbywało na czém“ i t. d. A kiedy zwinięto zakon reguły Ś. Klary, przyjął swą blizką krewnę Bogu poślubioną pannę Agnieszkę do swego domu, która autorkę naszę od 4 do 6 roku ucząc, tamże w Panu zasnęła. Poczém po odbyciu ciężkiéj choroby uczęszczała 6ścio-letnia Józefa do szkoły wyszehradzkiéj, w któréj wraz z Wiktorynem miewała na popisach mowy w języku czeskim [1]). Podrastając rada w ogródku śpiewała pieśni nabożne. W 17 i 18tym roku życia swego miała wyjść za mąż, gdy oto zdradzona przez fałszywego „Stanisława“ opuściła wprawdzie wiernego ale przez Stanisława oszukanego „Bogumira“ [2]) i opuściła niestałego „Wiktoryna“ swego wyż rzeczonego towarzysza szkolnego, który wstąpił późniéj do zakonu téjże reguły. Po śmierci pewnéj zakonnicy hrabianki, dostała pozwolenie wstąpić bez wiana do klasztoru reguły Ś. Elżbiety w Pradze, gdzie już wolno było przyjmować 17to-letnie dziewice.

Dnia 21 Listopada 1803 została, pomimo wszystkich odradzań, zakonnicą tamże, a dnia 9 Września 1805 złożyła ślub panieństwa. Otrzymała tu imiona „Marja Antonina.“ — (Nadmienić tu wypada iż imię Marja wspólne jest wszystkim zakonnicom téjże reguły). Dwie jéj siostry M. Franciszka i M. Teressa także do tego klasztoru wstąpiły, z któremi aż do śmierci złączoną była najścislejszém siostrzaném uczuciem. Wedle przepisów tychże panien duchownych, jako nowicjuszka zakonu *pieśni i powinszowania czeskie* składała. Korrespondencje z licznemi duchownemi, a mianowicie roku 1817 z Sedlaczkiem, Szindelarem, Kamarytem Klokotskim, Smetaną, Tomsą i w. i. uczyniły ją więcéj na nauki czeskie baczną. Kazania Rychłowskiego, biblja czeska i inne pisma czeskie, a między niemi także nowiny (dzienniki) czeskie i czasopisma, były jéj najulubieńszém czytaniem. Cokolwiek czeskiego nabyć gdzie mogła, starała się w to zaopatrzyć. W szpitalu (in-

[1]) Nieobeznanych ze stosunkami i urządzeniem szkół w monarchji austrjackiéj — objaśnić należy, iż do szkół początkowych uczęszczali razem chłopcy i dziewczęta. Urządzenie to trwało do niebardzo dawna.

[2]) Gotfryda.

firmerji) we dnie i w nocy stósowne książki, a zwłaszcza kazania w ręku mając, odczytywała je chorym i do nich przemawiała, w celi zaś o ile mogła się zatrzymać pracowała z piórem w ręku. W kuchni, doglądając gotowania, szczęśliwe pomysły natychmiast po skończonéj pracy starała się przenieść na papier, aby tym sposobem spółrodaczkom swoim nie tylko w blizkości chorobą złożonym, ale i w dali zdrowym po słowiańskich ziemiach, służyć mogła „a pobożność i cierpliwość do serca lepiéj wdrożyć.“ — W pisaniu swojém była skromna i cicha, jakoż w Kerzi 1830 pisze: „Słabość moja jest mi dobrze znaną... pragnę tylko, abyście mnie cierpieć (tolerować) raczyli, gdyż *w niedojrzałości* swéj za wami (uczonemi) chromiąc, wasze rozważając prace, oneż podziwiam i uwielbiam.“ A na inném znów miejscu tak mówi: „Za murami, gdzie słychać ciężkie westchnienia, — przecież radość, przecież szczęście rozkwita; — i cichéj celi nie odbiera spokojności — widok gąsnących oczu przy śmierci.“

Prace jéj składają się z pięciu tomików, obejmujących 31 arkuszy druku, treści nabożnéj. Dziełka zaś te wychodziły w następującym porządku:

1) *Serafka — Podarunek córom miejskim, od Dobrowlastki.* Praga, wydanie wtóre 1832.
2) *Mirtowy wianeczek* czyli *cierpieniem przychodzi się do szczęścia.* W Hradcy — Kralowe 1828.
3) *Krzak rozmarynowy z zakątka do ogrodu publ. przesadzony.* Praga 1830. Dziełko to ofiarowała ówczesnemu biskupowi pragskiemu, a późniejszemu arcybiskupowi lwowskiemu JX. Pisztiekowi, który tę książeczkę swoim nakładem dał drukować na korzyść chorych niewiast.
4) *Żywot Ś. Elżbiety córki króla węgierskiego Andrzeja II, księżny Turyngskiéj i Heskiéj,* napisany po niemiecku przez Winc. Dornauta, a przez Marję Antoninę przełożony, r. 1817, wydanie powtórne 1829.
5) *Chleby święcone*, książka do modlitwy. Praga 1820, wydanie drugie pomnożone 1826.

Oprócz tego mieszczą się jéj utwory w pismach czasowych: *Wieniec i Czasopis Czeskiego Muzeum* (1836).

Przy swych pracach cieszyła się stale dobrém zdrowiem, ale z powołania swego wiodąc żywot siedzący, *udarem* (apopleksją) tknięta, zasnęła w Panu. Rzeczony biskup i inni czescy pisarze oraz dobroczyńcy złożywszy się, postawili jéj na Wolszanach kamienny nadgrobek z napisem czeskim przez Franciszka Czelakowskiego ułożonym:

Twoja miłość ku Bogu i cnocie,
Już sięgła z czasu do wieczności —
Tam po wieniec niewiędnący;
Twych pism cichy głos serdeczny,
Twoją miłość ku Ojczyźnie
Zawżdy uczci ziomek wdzięczny,
Choć łza spływa na Twe prochy w grobie —
O siostro w Chryście zwieczniona!
Duch przecież błogo dąży do Nieba ku Tobie! —

Pod tém: Marji Antoninie z zakonu Śtéj Elżbiety spoczywającéj w Panu. † d. 4 Marca R. P. 1831. [1])

Jak Marja pojmowała świat zewnętrzny i duchowy, a zarazem wzajemny ich stosunek i związek między sobą, może posłużyć następujący ustęp z jéj prac piśmiennych, który tu w dosłownem tłomaczeniu przytaczam, aby nie stracił nic z swojéj prostoty i malowniczości w przedstawieniu.

PRZYJAŹŃ.[2])

„Dla Boga, co się stało?“ zawołała przerażona Julja, kiedy wchodząc do ogrodu, spostrzegła orzech ścięty leżący na ziemi. Był to jeden z owych dwóch, co obok siebie stały i wysoko pięły się ku obłokom. Ogrodnik kazał to drzewo wywrócić i sprzątnąć; robotnicy mieli korzenie wykopać i na tém miejscu inny szczep zasadzić.

[1]) Obacz S. W. J. Michla szacowne dzieło pod napisem: *Literaturni létopis uli Obraz slociesnosti Slowanow nářecí českého w Cechách, na Morawě a w Uhřích od léta 1825 až do l. 1837* w Pradze 1838. Zeszyt IV str. 301 — 302 tudzież Józefa Jungmanna Historją lit. Cz. wyd. 2gie Praga 1849.

[2]) Jestto podobno ostatni jéj utwór przedśmiertny, a drukowany po jéj skonie w Czasopisie Czeskiego Muzeum. Praga. 1836. Zeszyt drugi.

„Nieszczęśni, co czynicie?“ wykrzyknęła Julja, „co zawiniło drzewo, ozdoba tego ogrodu, żeście je wykopali i gdzieś tam wleczecie? — Nie wiecież, żem najbardziéj lubiła spoczywać pod cieniem jego?“

„Nie gniewajcie się pani,“ mówił poczciwy ogrodniczek; „mrozy uszkodziły to drzewo, więc uschło, a martwego nie potrzeba w ogrodzie.“

„Ach szkoda, wieczna szkoda! te dwa drzewa jedne miały własności, jednostajnie pięły się ku niebu, jednaką woń wydawały; oba piękne — a ot, jedno z nich zginęło w najpiękniéjszéj porze rozrosłe! Ja wybrałam je sobie za obraz przyjaźni swojéj i miałażby przyjaźń moja również się tak kiedyś zakończyć? O nie daj tego Boże! by się tak stać miało!“

Julja płakała, a ja płakałam z nią. I ja czczę przyjaźń i ważę ją sobie wyżéj nad wszystką świata sławę, nad najdroższe skarby ziemskie, nad wszystko co śmiertelnik nazywa szczęściem: przyjaciel wierny jest dla mnie skarbem najdroższym. Przyjaciela szczerego, serdecznego, uznaję za dar od Boga najwznioślejszy i nie przepomnę zań podzięk składać Dawcy Dobrotliwemu.

Kiedy czasem w wolnych chwilach do ogrodu tego zaszedłszy, przypatrywałam się piękności przyrody i Stwórcę jéj wielbiłam, z uciechą spoglądałam na te dwa wspaniałe drzewa i prawie zazdrościłam Julji, że obrała je sobie za obraz przyjaźni: zoczywszy wszakże, iż wielokrotnie jakiś ptak w ich gałęzie zalatując, czyhał, ażeby ułowić słowika pieśń wieczorną bezpiecznie śpiewającego, nie chciałam więcéj wybierać drzew tych na wizerunek przyjaźni, bo ta nie ukrywa zdrady ani podstępu.

Szłam tedy między kwiaty woniejące, wpatrując się, azalibym między któremi z nich ujrzeć nie mogła obrazu przyjaźni prawdziwéj: ale wnet w każdym z nich zdarzało mi się widzieć coś nie miłego. Róża, ta królowa kwiatów, prędko opadając, nie mogła być stałéj przyjaźni obrazem.

Wybieram więc raczéj fjołek. Ale czemuż pająk tak usiada na kwiatku jego? Jad wysysa z fjołka? O! już nie może piękny ten kwiatek obrazem być przyjaźni, boć ona nie mieści w sobie trucizny ani jadu.

Lilję wybieram, o! ta jest iście najpiękniejszą ze wszystkich kwiatów! Jaka to białość, jak wdzięcznie ku ziemi się skłania, o zaiste to obraz niewinności, ale tamtę wiatr złamał, tę szkaradna uszkodziła ręka, ku owéj znów jakaś obrzydliwa pełza gąsiennica! W istocie, trudno będzie uchować kwiatek ten piękny, aby mógł być obrazem przyjaźni nieskalanéj.

O daremnie, daremnie się silę znaleźć na ziemi obraz przyjaźni takiéj jaką być powinna i jak ja ją czuję! — Chcąc tedy myśl i pragnienie serca ku innym zwrócić rzeczom, szłam do pasieki. Wschodzące słońce posełało tam promienie złote, a pszczoły jakby minioną noc niewiedzieć jak przepędziwszy, śpieszyły jedna za drugą ze spoczynku do pracy. Latały z kwiatka na kwiatek i zdało się, że nigdzie nie mają oparcia swojego.

Weszłe słonko ścierało mokre kropelki z niezapominajki, co u strumyka czystego rosła w pobliżu altanki. Tam też zaleciały pszczółki, jakby wszystkie inne opuściły kwiatki i nie wiem, miód-li ssały z niezabudki, czy też z niéj zbierały perełki rosy.

Z początku zaczęłam rozważać skrzętność tego małego stworzenia: ale wnet powróciwszy do pierwotnego rozmyślania, badałam siebie, azalibym miała wybrać niezapominajkę za obraz wiernéj przyjaźni?

Gdy tak sobie rozmyślałam, spuścił się szybko pająk z drzewa ku kwiatku tak mile modremu i spinał się to na listki, to na kwiat; a nie naszedłszy na niewinnym kwiatku pożywienia żadnego, gniewny spinał się znów na drzewo do siedziby swéj. I krzyknęłam z radości i postanowiłam niezabudkę przyrównać do przyjaźni. Wzięłam tedy dwa najpiękniejsze krzaczki niezapominajek, a w poprzek postawiłam pręciki na sposób krzyża, aby kwiatuszek w koło krzyża się opinając, rósł w górę. Tak będzie dobrze, wyrzekłam, kwiatki zdobić będą krzyżyk, a ten będzie ich podporą. Ale nie zostawię ich tutaj w ogródku, skrycie je chować będę. Ukryta przyjaźń bywa stalszą i nie bywa na tyle prób wystawioną, ile jawna. Głośna światowa znajomość, nie

powinnaby się nigdy przyjaźnią nazywać, bo takowa zawiązywać się zwykła li w samotności. Prawdziwa przyjaźń nie zasadza się ani na powierzchowności ani na słowach. A wszakże któżby się odważył nakreślić typ prawdziwéj przyjaźni, jak ją harmonijne dusze, sympatyczne serca czują? —

Wierni przyjaciele nie zważają na oddalenie; choćby ich wielka dzieliła odległość, serca ich są zawsze blizko siebie. Prawowierni przyjaciele zachęcają się do podejmowania rzeczy wielkich, szlachetnych, do pracy, cnoty, do pokonywania wszelkich przeszkód, wiedząc, iż z pokonania trudności najwyższa wynika rozkosz. Taką jest i taką będzie przyjaźń moja.

Wzięłam tedy wsadzoną niezapominajkę, obraz przyjaźni i postawiwszy ją w oknie mojego pokoiku, zewnątrz okno przeciągnęłam siatką, aby motyle i inne owady nie szkodziły kwiatkom. Luby zefirek igrał z niemi figlarnie; ranne słoneczko je ogrzewało; księżyc nie skrył się pierwéj pokąd ich nie pozdrowił, a gwiazdki na pięknym niebios lazurze niby z radością migając się i trzepocząc, zaglądały na nie przez noc całą. Podlewałam je pilnie i do tegom doprowadziła, że się wkrótce całe pokryły kwiatem. Z początku rwałam je na uroczystość Bożego Ciała, wplatając je w wieniec między lilje i róże ku ozdobie N. Sakramentu ołtarza. Przyjaźń rosnąć powinna na cześć Boga.

Towarzyszki moje z uciechą patrzały na niezabudkę moją, często na mnie wyłudziły pęczek na radość swoję, a ja im rada go uszczknęłam, myśląc: ma przyjaźń winna być bliźniemu uciechą i korzyścią. Czujną pieczę miałam o kwiateczki mi drogie, ochraniając je przed ręką niebaczną. Tak wątłą jest przyjaźń! — Jeźli się kiedy zbliżała burza straszliwa lub wicher szkodliwy, spiesznie chowałam kwiatki w mieszkaniu mojém, myśląc: tylko wraz ze mną przyjaźń może zgasnąć i zaginąć.

Nareście nadeszła jesień; niezapominajka przestała jaśnieć modrym lazurem, listki schły i opadały; ale i wtenczas nie trudno mi było znaleźć podobieństwo między niezabudką a przyjaźnią. Pomyślałam: Ach! są chwile, w których przyjaciela mego szczęście opuści, smutek go ściga, on tęskni — więc będę tęskniła z nim i zachowam przyjaźń wierną a stałą. O! wiem zaiste, że jak tylko znikną dni owe zimne, niezapominajka ma tę własność, że się znów zazieleni i zakwitnie. Niezapominajko bądź tedy obrazem przyjaźni mojéj! — A gdy kiedyś ciało moje złożoném zostanie w chłodnéj ziemi, może ręka poczciwa zasadzi niezapominajkę na grobie moim; kwiatek się rozłoży po przybytku śmierci, kiedy kości moje próchniejąc rozsypywać się będą. Tam snadź i nieznajomy się zapyta: „kto tu spoczywa?“ I daną mu będzie odpowiedź: „ta, co czciła przyjaźń wierną a stałą.“— Zajdzie-li zaś zrana przyjaciel na grób mój, zoczy kwiatek płaczący i uszczknie niektóry a włoży do książki pamiątek; przyjdzie-li w parne południe i ujrzy kwiatek więdnący, to łza spadająca z jego oka kwiatuszek orzeźwi. — A kiedy znów zima się przybliży, a srogie mrozy zwarzą korzonki kwiatka w ziemi i śnieg je pokryje, nie mogąc ich widzieć zapłacze przyjaciel, że kwiatek już zginął! Za nadejściem wiosny, ciepło słoneczne wywabi z ziemi korzonki i niezabudka wejdzie o wiele piękniejsza, niż była zasadzona w ziemi.

I duch mój jedną razą z wiecznego powróci przybytku na tę tu ziemię i połączy się z prochami mojemi; ciało powstanie z grobu dawno już zapomnianego i będzie odmłodzone, jaśniejsze i dużo piękniejsze, a z nim się znowu zjednoczy przyjaźń wierna i stała, wiecznie trwająca.“

Każdy po przeczytaniu tego małego i skromnego, acz głębokiego w pomysły utworu, przyznać musi, że jest w nim coś dziwnie rozrzewniającego i pocieszającego razem. Powiedziałbym, iż w duchu Marji jest jakieś pokrewieństwo z pełnym boleści wyrazem, jaki cechuje nieocenione utwory ś. p. X. Karola Antoniewicza. Widać, że jak Karol tak i autorka nasza, wprzódy zanim przywdzieli suknię zakonną, należeli do świata i podzielali jego radości i smutki, a w końcu wszystkie zawądy i boleści swoje zanieśli pod krzyż Zbawiciela świata.

F. Matejko.

PODRÓŻE
BADACZA PRZYRODY
PO ŚRODKOWEJ AFRYCE [1].

I.

Cel moich poszukiwań — Ułatwienie podróży — Kraj który miałem zwiedzać — Gabon — Mpongwowie — Zazdrosne ich usposobienie — Handel — Misjonarze — Baraka — Ludność Gabonu — Tajemnica znikania plemion afrykańskich — Wioski Mpongwów — Ubiory — Monopol — Kupiectwo — Zazdrość — Kredyt — Płody Gabonu — Handel kością słoniową.

Opuściwszy Stany Zjednoczone w miesiącu październiku, zawinąłem szczęśliwie do zachodnich wybrzeży Afryki, z zamiarem poświęcenia lat kilku na dokładne rozpoznanie tych krajów, aż po łańcuch gór *Sierra del Crystal* i daléj nawet gdyby się tylko przemknąć udało. W całéj téj okolicy rozproszone są wioski zamieszkane przez negrów, gdzie niegdzie wznoszą się faktorje ułatwiające stosunki handlowe. W ostatnich czasach czynności ludzi białych ograniczały się jedynie na wybrzeżach, części zaś ziemi dalsze były im zupełnie nieznane. Słyszeli tylko coś niecoś o ludożercach, o ich okrucieństwach i dzikich przesądach, z płodów zaś ziemi widywali heban, kość słoniową, kauczuk i drzewo sandałowe dostarczane za pośrednictwem rzek spławnych. Pewien byłem że w owych krajach znajdę obszerne pole do mych badań, gdyż rozprawiano wiele o ich dziwnéj faunie i florze. Tajemnicza ta okolica była siedzibą *Gorilla* olbrzymiéj małpy zbliżonéj najwięcéj do człowieka, zarówno budową fizyczną jak niektóremi zwyczajami. Gorille postrach najśmielszych łowców, są tak mało znane uczonym badaczom cywilizowanego świata, że często nie czynią o nich nawet wzmianki w swych dziełach. Inne również osobliwe małpy zwane *Nshiégo mbouve*, gnieżdżą się w głębi lasów afrykańskich, rzeki zamieszkują hipopotamy, najpiękniejsze zaś różnofarbne ptastwo krąży w powietrzu. Wyruszyłem zatém z nadzieją zbogacenia nauki, nie jednym nieznanym lub niezwykłym okazem. Sądziłem także że uda mi się wynaleźć wśród gór zdrowe miejsce na bezpieczne mieszkanie dla missjonarzy i osadę handlową, zarówno korzystną białym jak krajowcom. Podróż moja nieprzedstawiała wielkich trudności, z powodu że kilkoletni pobyt na wybrzeżu w faktorji ojca mego, obznajmił mię już od dawna z językiem i obyczajami miejscowemi. Oswoiłem się również wtedy z palącym żarem afrykańskiego słońca i poznałem wszelkie lekarstwa, których używają przeciw zgubnym tamecznym gorączkom.

Rzeka Gabon wypływa z gór *Sierra del Crystal*, wpadając do oceanu Atlantyckiego w szeroką zatokę, która tworzy najlepszy port zachodniego wybrzeża. W roku 1842 francuzi zbudowali w tém miejscu warownię i osadę gdzie ojciec mój przez lat kilka prowadził handel szczęśliwie, ja zaś powziąłem pierwsze wyobrażenia o Afryce i zawiązałem drogocenne obecnie stosunki z pokoleniami negrów. Gdy zawitałem pomiędzy nich po długiéj nieobecności, przyjęli mię z radosnemi okrzyki, sądząc że przybywam prowadzić daléj handel. Negry w tych stronach należą do najzapaleńszych i najzręczniejszych handlarzy, uszczęśliwieni więc byli że będą mogli mieć podobne stosunki z dawnym przyjacielem. Bardzo się téż strapili gdy im oświadczyłem że towarów z sobą nie mam, lecz przyby-

[1]) Środkowa Afryka należy dotąd do części ziemi mniéj znanych, bogactwa zaś jéj płodów, zarówno jak dzikie pokolenia przez które jest zamieszkaną, słusznie wzbudzić mogą zajęcie. Sądziemy więc że czytelnicy nasi chętnie powitają w Kółku, podróże uczonego amerykanina pana du Chaillu, w których obok zajmujących wypadków, znajdują się ciekawe opisy zwyczajów i obyczajów mieszkańców téj zwrotnikowéj strefy, oraz osobliwszéj jéj fauny i flory.

wam jedynie w celu zwiedzenia kraju o którym sami niegdyś opowiadali mi tyle dziwów, oraz że zamierzam polować na ptaki i dzikie zwierzęta. Sądzili z początku że z nich żartuję, lecz gdy zobaczyli na statku który mię przywiózł, zamiast pak i beczek przyrządy wszelkie do polowania w pustyni, musieli mi uwierzyć a ich podziw i niepokój nie znał wtedy granic. Niektórzy sądzili że zwarjowałem i ubolewali nad moim ojcem którego znali dobrze, że ma syna tak niemądrego. Inni znów przypuszczali że nie mówię prawdy i zamierzam wycieczkę w głąb kraju aby im wydrzéć niejako ich handlowe stosunki. Ci ostatni zwani Mpongwami czyli Gabończykami od rzeki nad którą mieszkali, mieli rzeczywiście w ręku cały handel téj okolicy i obumierali z trwogi na myśl, aby ktokolwiek mógł sobie przywłaszczyć źródło ich bogactwa Otoczyli mię rozprawiając o okropnych niebezpieczeństwach podróży w głąb kraju, zapewniali że zostanę zjedzony przez ludożerców, zatopiony w bystrych potokach, pożarty przez lamparty i krokodyle, zgnieciony na miazgę przez słonie lub przez hipopotamy, a wreście poszarpany przez Gorille. Gdy pomimo tych groźb niechciałem porzucić mych zamiarów i przekładałem że nie myślę im bynajmniéj przeszkadzać w ich czynnościach, odstąpili mię wszyscy z nieufnością z wyjątkiem kilku dawnych znajomych. Ponieważ zamierzałem przepędzić czas jakiś w okolicach Gabonu, aby się lepiéj oswoić z klimatem tamtejszym, zamieszkałem wśród starych przyjaciół amerykańskich missjonarzy, którzy mieli swą osadę w Baraka o kilka mil od ujścia rzeki. Znalazłem tam najlepsze przyjęcie u wielebnego Wiljama Walker i mogłem używać w całéj pełni roskoszy życia ludów cywilizowanych, które na tak długo porzucić miałem.

Missjonarze katoliccy i protestanccy podzielili tu niejako pomiędzy siebie nauczanie religji, pierwsi mają jeszcze do pomocy siostry miłosierdzia które prowadzą daléj rozpoczęte przez nich dzieło. Baraka jest główną osadą amerykańskiéj missji, założoną przez wielebnego Wilsona; nié ma dotąd innego podobnego stowarzyszenia na wybrzeżu. *Baraka* w języku Mpongów znaczy *kantor sprzedaży niewolników*, tak więc dziwném zrządzeniem losu, potoki chrześcijańskiego światła wypływają właśnie z miejsca w którém przed tém duch ciemności panował. Zabudowania missjonarskie wznoszą się w pośrodku wzgórza otoczone murzyńskiemi wioskami, w których Ojcowie opowiadają Ewangelję kilka razy w tydzień. Dość znaczny obszar ziemi otoczony pięknym szpalerem lipowym jest ich własnością, budynki stawiane z palmy bambusowéj składają się z domu w którym zamieszkują missjonarze i ich rodziny, z kościoła, z magazynu, ze szkoły i z budynku który mieści bibljotekę missijną. Mieszkanie dzieci umieszczonych w zakładzie, służących, oraz kuchnie postawiono nieco daléj (w krajach podzwrotnikowych kuchnie muszą być zawsze oddalone). Sad z pięknych drzew owocowych ocienia całą osadę. Dzień każdy zaczyna się tam od modlitwy przetłomaczonéj dla dzieci na język Mpongwów, dziewczęta i chłopcy zamiatają potém sypialnie i gotują się do dalszéj pracy. Przygotowania te zarówno jak porządki, dozorowane są przez kobiety zamieszkałe w missji. Następuje potém śniadanie zastawione na stołach czysto nakrytych; jest ono zarazem dla dzieci nauką, jedzenia na sposób cywilizowanego świata. O dziewiątéj na odgłos dzwonka zbiegają się dzieci wiejskie i rozpoczynają naukę od modlitw i hymnów odśpiewanych w języku krajowym. Missjonarze i żony ich, mają do pomocy w niższych klasach młodych negrów nieco więcéj posuniętych w naukach. Gdy uczeń ma już pierwsze początki, czyta pismo Ste, uczy się jeografji historji i angielskiego języka, lecz zawsze główną dają baczność na naukę religji. Wpływ zbawienny missjonarzy, widzieć się daje jedynie na młodszych pokoleniach, starsi bowiem murzyni są bardzo niepojętni, leniwi i nieufni, nadewszystko zaś niezmiernie przywiązani do starych swych przesądów. Jeżeli chodzą do kościoła, to jedynie przez ciekawość lub interes osobisty, gdy spodziewają się być wynagrodzeni trochą tytuniu. Dzieci przeciwnie są roztropne i łagodne, słowem łatwe do kierowania, na nich téż spoczywa jedynie nadzieja rozszerzenia christjanizmu w Afryce. Dziewczęta zgromadzają się dwa razy

w tydzień dla nauki robót, przyuczają je aby szyły suknie dla siebie i dla swych braci. Niedziela jest najważniejszym dniem tygodnia. Dzwony zwołują wszystkich do bambusowego kościołka. Dzieci i mieszkańcy osady, gromadzą się tam strojni w najpiękniejsze suknie, poganie nawet wiejscy stosują się do tego zwyczaju i odwiedzają kościół w niedzielę okryci najlepszemi szaty, a gdy kaznodzieja skończy swą mowę o dobroci i mądrości Boga, łącznie z chrześcijanami śpiewają nabożne pieśni. Mimo to wszystko trudy sług Bożych nie są uwieńczone zbyt obfitém żniwem, lecz niemoże być inaczéj, niepodobna bowiem od razu rozświecić takiego obszaru ciemności, zwalczyć lenistwa nieudolności i przesądów, w których ci nieszczęśliwi poganie pogrążeni tak głęboko. Kiedy niekiedy missjonarze zastanawiają się nad małym plonem swych trudów, nie tracą jednakże odwagi i pracują bezustannie oddalając troskę o jutro, w nadziei że Bóg który często z drobnych początków wielkie i cudowne wyprowadza rzeczy, nagrodzi kiedyś ich niezmordowaną gorliwość.

Znałem zdawna kraj Gabonu i ludność jego, zamyślałem jednakże korzystać z czasu który miałem przepędzić obecnie wśród niéj, aby się przyjrzeć zbliska obyczajom i zwyczajom Mpongwów, oraz wprawić się na nowo w język tego pokolenia które zaczyna znikać z powierzchni ziemi, podobnie jak inne ludy afrykańskie. W dalszych rozdziałach wspomnę o przyczynie tego stopniowego wyniszczenia niektórych rodzajów ludzkich. Obecnie powiadam tylko że to jest fakt udowodniony. Mpongwowie są odrostkiem jednéj z tych wielkich rodzin negrów, którzy zwolna od źródeł Nazarethu posunęli się ku morzu, rozszerzając swe granice zarazem na północ i na południe, aż do rzeki Gabonu i przylądka Śtéj Katarzyny. Zastąpili oni tutaj pewno inne plemiona które znikły tak samo jak dziś znikają Mpongwowie. Niedawno jeszcze zaginęło w ten sposób pokolenie Ndina — obecnie żyje już tylko trzech jego potomków a gdy ci umrą, nie pozostanie i znaku z licznego niegdyś ludu. Wszystkie części pokolenia Mpongwów mówią jednym językiem różniącym się jedynie niektóremi słowy pożyczonemi od mowy innych krajowców. Niepodobna nam zrozumieć dobrze przyczyny przenoszenia się z miejsca na miejsce innych plemion afrykańskich dopóki niepoweźmiemy dokładnéj znajomości o krajach które one zamieszkują. Obecnie brzegi Gabonu mieszczą ośm plemion które mają jeden język a zatém jedno pochodzenie. Mpongwowie rozpostarci są na przeszło trzydziesto milowéj przestrzeni prawego brzegu rzeki, mieszkają zwykle w wioskach ktorych położenie odpowiada korzystnie warunkom handlu. Wioski te są niezbyt wielkie lecz czysto i dobrze utrzymane. W pośrodku ciągnie się zwykle długa główna ulica, otoczona z dwóch stron domami różnéj wielkości i kształtu, stósownie do upodobania i zamożności właścicieli. Stawiają je z pewnego gatunku palmy bambusowéj któréj liśćmi dach poszywają. Drzewo to jest jednym z najużyteczniejszych płodów téj krainy. Budowa domu bywa zatrudnieniem nader ważném dla każdego Mpongwa. Zgromadziwszy potrzebne materjały nakreśla najpierw plan, a potém wraz z niewolnikami swemi wznosi bambusowe ściany utykając szczeliny liśćmi, podłogę zastępuje ziemia mocno ubita, główna izba mieści się w pośrodku, zresztą zaś drzwi okna i reszta wykończenia budynku zastósowana jest do upodobania właściciela, co sprawia miłe dla oka urozmaicenie w zewnętrznych kształtach domostwa. Urządzenie ich wewnętrzne stosuje się do zamożności mieszkańców. U niektórych widzieć można stoły, stołki, kanapy, lustra a nawet zegary. Siedziby Mpongwów różnią się wielce od czarnych chat o błotnistych ścianach zamieszkanych przez murzynów z okolic pomiędzy Nigrem a Senegambją. Ale bo téż Mpongwowie zarówno i powierzchownością do nich niepodobni. W rysach ich twarzy przebija się wprawdzie zawsze typ murzyna, lecz znacznie złagodzony i upiękniony wyrazem całego oblicza. Ubiór ich jest także schludniejszy. Mężczyźni noszą kolorowe perkalowe koszule na których drapują szeroki czworograniasty kawał płótna aż do stóp zwieszony, na głowie noszą słomiane kapelusze gdyż król jedynie ma prawo do jedwabnego wyrobu tego rodzaju. W ogóle lubią nad-

zwyczajnie stroje i bogaci naczelnicy mają się za szczęśliwych, ilekroć nabyć mogą jaki świetny mundur, w którymby wystąpić mogli przy zdarzonéj sposobności. Głównym a częstokroć jedynym strojem kobiet jest okręcający je od pasa do kolan szeroki kawał płótna. Nagie ramiona i nogi, pokrywają mnóstwem miedzianych obręczy; często zdarza się że na każdéj nodze dźwigają po dwadzieścia kilka funtów metalu, co utrudnia im chód i czyni go bardzo niezgrabnym. Obie płcie przepadają za pachnidłami jakiego bądź rodzaju. Głównym odcieniem charakteru Mpongwów, wspólnym zresztą innym murzyńskim plemionom, jest namiętne zamiłowanie handlu. Położenie kraju przy ujściu Gabonu bardzo im ułatwia zadość uczynienie temu upodobaniu. Jedyne najpewniejsze dostawy towarów w Afryce, ułatwiają się za pomocą rzek spławnych. Pokolenia dzikie w głębi, jeżeli chcą wymienić swe płody, niemogą się znieść z ludźmi białemi, jak za pomocą ziomków zamieszkałych w pobliżu tychże. Nikt się nie wyłamuje od tego prawa i tak jeżeli mieszkasz u podnóża gór Sierra del Crystal, a chcesz zamienić za towar europejski kawał kości słoniowéj lub hebanu, musisz go ustąpić twemu sąsiadowi, ten następnie poda go w dalsze strony i w ten sposób dopiero dojdzie on miejsca swego przeznaczenia; gdybyś go zaś tam chciał sam zanieść, za takie wyłamanie się od powszechnie przyjętego zwyczaju, cały twój majątek byłby rozszarpany, sam zaś zostałbyś sprzedany jako niewolnik. Można sobie wyobrazić jak nieszczęśliwi mieszkańcy głębi Afryki są oszukiwani przy téj zamianie przez swych współziomków z wybrzeży. Ci ostatni rozpowiadają niesłychane dziwy o trudach które ponosić muszą dla ich dobra jedynie, o chciwości i dzikości ludzi białych i t. p. a w końcu zdarza się często, że jeszcze dawać sobie każą jakąś część z kilkakrotnie już nadwerężonéj poprzednio summy, którą im oddają za spieniężone przedmioty. Każde pokolenie przez którego ręce przechodzą towary zanim się dostaną do kupców białych, przywłaszcza sobie pewien od nich procent. Nieszczęśliwi właściciele ani się tego domyślają, niemogą korzystać prawie z bogactwa swego kraju, bo odbierając kiedy niekiedy maleńkie bardzo za nie pieniądze, pozostają pogrążeni w ciemności swéj i barbarzyństwie; niemają nawet ochoty korzystać z bujnych płodów ziemi którą zamieszkują nie znając ich wartości. Handel niewolnikami odbywa się również w ten sposób, jeżeli zachodzi w nim niekiedy maleńka zmiana, to wtedy chyba gdy dwa pokolenia poróżnią się pomiędzy sobą, wtedy jedni drugim zabierają niewolników i sami zajmują się ich dostawą do *barakonów*, czyli składów podobnych towarów. Są jeszcze przytém inne przeszkody co do porządnéj organizacji handlu i tak nikt nie może pojedynczo odnosić większych korzyści, gdy bowiem zdarzyło się kilka lat temu że jeden z przebieglejszych krajowców, wpadł na myśl że uczciwość mogła być pewną rękojmią do zawiązywania liczniejszych handlowych stosunków, a rzeczywiście czyniąc zamiany bez oszustwa zyskał znaczną liczbą klijentów, zazdrośni współziomkowie oskarżyli go najpierw o czary, gdy zaś to nieskutkowało chcieli go się pozbyć przez truciznę, dość że w końcu biedny prześladowany wyrzekł się handlu aby ocalić życie. Podobne wypadki zdarzały się już niejednokrotnie; niedawno n. p. znów kilku ludzi z wybrzeża zyskało sobie powszechne zaufanie i zdarzyło się pewną razą że kapitan statku przybyłego po drzewo sandałowe, oświadczył że z niemi tylko chce mieć do czynienia. Gdy statek został wyładowany i odpłynął, obrażeni krajowcy zwołali rodzaj sejmu, aby zapozwać swych współziomków o zdradę któréj się dopuścić mieli, pisując do ludzi białych jako byli jedynemi uczciwemi komissantami w swéj okolicy. Oskarżeni stawieni przed oblicze wodzów i królów zgromadzonych w Glass Town, tłomaczyli się bardzo loicznie, jako niemogli uczynić nic podobnego z przyczyny że niktby niedał wiary pochwałom któreby sobie sami oddawali. Obrona ta niedozwoliła wyrzec wyroku jawnego potępienia, zagrożono jednakże obwinionym czarami i klątwą, w razie gdyby weszli w stosunki z którymkolwiek z okrętów zawijających do portu. Na szczęście poczciwi owi ludzie byli wychowańcami missjonarzy, nie lękali się więc podobnéj groźby, dowódzca jakiś francuzki wziął ich w swą opiekę, zdaje się

więc że tą razą przynajmniéj uczciwość odbierze rzeczywiście zasłużoną nagrodę na ziemi afrykańskiéj. Pomiędzy innemi szkodliwemi warunkami dla handlu z białemi, jest także zgubny systemat kredytu przyjęty na całém wybrzeżu. Kupcy mają zwyczaj dawać naprzód znaczne zaliczenie murzynom na towary które ci dostawić mają, niebiorąc od nich nawzajem żadnego znaku na zapłaconą summę pieniędzy. Długo też czekać muszą za nim odbiorą swą należność i nazwać się jeszcze mogą szczęśliwemi, jeżeli choć w znacznéj części odzyskają wartość wyłożonych kapitałów. Ten sposób postępowania działa zgubnie na negrów i tak już chciwych i skłonnych do oszustwa. Czynią też oni co mogą aby jak najwięcéj naprzód wybrać pieniędzy, a następnie używają tysiącznych wykrętów skoro się uiścić przyjdzie. Gdy krajowiec dostanie w ręce pieniądze białego kupca, udaje się najpierw w głąb kraju i zamieszkuje w miejscu obfitującém w heban lub kość słoniową, potrzebną mu na własny rachunek. Skoro już zapewnił sobie korzystne nabycia, żeni się, kupuje kilku niewolników, a następnie dopiero zajmuje się interesami swego klijenta. Po kilku miesiącach zaledwie poseła żądany towar, często zaś zdarza się że i nic nie poseła, jeżeli ten który mu powierzył pieniądze jest dość oddalony aby go można skrzywdzić bezkarnie. Ci komisanci są to ludzie dość oświeceni, rozumieją wszystkie djalekta używane na wybrzeżu zarówno dobrze, jak język angielski, francuzki, hiszpański i portugalski. Do najgłówniejszych płodów Gabonu należy kość słoniowa która się tam znajduje w najlepszym gatunku, jak również wielka obfitość farbiarskiego czerwonego drzewa i hebanu. Widziałem sam znaczne kawały hebanu z tamtych stron, a jednakże niewiem czemu nie sprowadzają go tyle ileby się dało. Drzewo czerwone rośnie w wielkiéj ilości nad brzegami rzek. Kopal znajduje się także w tych okolicach, lecz jest za nadto złego gatunku aby mógł być przedmiotem handlu. Kość słoniową spławiają zwykle na wybrzeże, często nawet w ilości 80,000 funtów rocznie przez samą rzekę Gabonu przybywa. Zależy to od liczby mniejszéj lub większéj zamówień z obczyzny, bo ceny miejscowe tak są znaczne że kupcy niebyliby w stanie czynić zakupów, bez poprzedniego zapewnienia że je zbyć mogą. Zdaje mi się że w latach w których handel dobrze idzie, okolica od Banoko do Loango dostarcza także z jakie 150,000 funtów kości słoniowéj. Jakkolwiek korzyści podobnego handlu mogą być znaczne, mam wewnętrzne przekonanie że mieszkańcy téj części Afryki, dopóty nie będą się cieszyć prawdziwą pomyślnością, dopóki nie wezmą się do roli którą tak zaniedbują, chociażby też skłonić się mieli do podobnéj pracy przypuszczeniem, że prędzéj czy późniéj słonie wytępiane ciągle, wyginąć całkiem muszą. Największém nieszczęściem zachodniéj części Afryki jest wstręt do pracy mieszkańców. Mężczyźni uważając pracę około roli za poniżającą składają ją na niewolników i kobiety. Zła uprawa gruntu czyni że nigdy żywność niewystarcza potrzebom człowieka i wszystkie pokolenia bez wyjątku, cierpią przez połowę roku przynajmniéj głód, mimo tego że mieszkają na bardzo urodzajnéj ziemi.

II.

Główne powody upadku Mpongwów — Przeszkody małżeństwa pomiędzy różnemi klassami — Ostatnie chwile życia króla Glassa — Opinja publiczna Gabonu — Żałoba po śmierci króla — Nowa elekcja — Charakter odznaczający Mpongwów — Gentleman afrykański — Żywność — Rolnictwo — Podróż — Folwark królewski — Ogula Limbai — Wielki myśliwiec — Łódź wywrócona — Rzeka rekinów — Łąki Langatanga — Król Bango — Bal u dworu — Barakony — Gość niemiły — Statek handlujący murzynami — Batwany.

Powracam jeszcze do Mpongwów którzy jako jedno z głównych pokoleń Gabonu zasługują na większą uwagę. Wielożeństwo i częste zabójstwa obwinionych o czary wyniszczają bardzo tych biednych ludzi. Całe pokolenie dzieli się na klassy których rozdziałem najwybitniejszym jest to, że nie wolno im łączyć się przez małżeństwa. Mpongwowie czystéj krwi nie istnieją już dzisiaj w większéj liczbie nad trzysta osób. Po nich najpierwsze miejsce zajmują ich potomkowie zrodzeni z kobiet Mbengasów, Sekianisów lub Bakaluisów, których znajdzie się jeszcze do ośmiuset. Trzecią klassę stanowią dzieci Mpongwów i niewolnic

zwane *bambaisami*, jest ich około tysiąca i jakkolwiek niemają tych przywilejów co Mpongwowie czystéj krwi, jednakże nie mogą się łączyć z mniéj znaczącemi od siebie. Po nich następują dzieci niewolników które stanowią znaczną część ludności, a na ostatku idą niewolnicy których jest zapewne z kilka tysięcy. Przemieszkują oni głównie na prawym brzegu Gabonu, mają tam swoje osady jako to: Kringé, Qua-ben, Louis lub Dowe-Glass, Prince-Glass i dwie jeszcze inne na przylądku Obendo i na wyspie Papuziéj. Na lewém wybrzeżu są osady króla Djonizego, albo King Wiliam, króla Jerzego i króla Lucana. Ci dignitarze są wodzami którzy zarządzają osadami noszącemi ich nazwiska. Całe pokolenie powinno słuchać czterech głównych władzców, lecz ponieważ zachodzą częste kłótnie które rozsądzać trzeba, przeto zazwyczaj starcy wiosek posiadają pewną władzę która dozwala im gromadzić i naradzać się wspólnie. Podczas mojéj bytności w Gabonie umarł król Glass. Chorował on długo wprzódy, a tak był przywiązany do życia że miał niezłomną nadzieję śmierć oszukać i odprawić. Stary ten i niemiły poganin w ostatnich chwilach stał się bardzo nabożnym, bożyszcza jego świeżo wymalowane i świetnie przyozdobione, były jednemi z najstaranniéj utrzymanych w całéj Afryce. Codziennie przyprowadzać sobie kazał jakiego znakomitego doktora, obawiał się bowiem niezmiernie czarów, a w tych stronach uchronienie od nich chorego jest głównem zadaniem lekarza.

Całe pokolenie nie lubiło króla swego z przyczyny że miał sławę złośliwego czarnoksiężnika i chociaż niemówiono o tém głośno, jednakże nikt nie odważyłby się wejść w nocy do jego mieszkania, chyba w razie gdyby się zdarzyła sposobność skraść tam butelkę araku. Gdy monarcha miał się coraz gorzéj wszyscy udawali strapionych ciesząc się nadzieją rychłéj jego śmierci. Skoro umarł, pewnego poranku zbudzony zostałem przez żałobne jęki i krzyki które zazwyczaj u afrykańskich ludów są raczéj ceremonją pogrzebową aniżeli oznaką prawdziwéj boleści. Cała wieś szlochała, rzecz dziwna z jaką łatwością kobiety afrykańskie mogą płakać bez najmniejszéj ku temu przyczyny; widziałem je nieraz śmiejące się i w tejże saméj chwili wylewające łez strumienie. Żałoba i oznaki rozpaczy po śmierci króla trwały sześć dni. Na drugi dzień pochowano go sekretnie. Królowie Mpongwscy są zawsze pogrzebani w ten sposób, z przyczyny że ponieważ pokolenie to uważa się za jedno z najznakomitszych w Afryce, sądzi że inne wykradłyby czaszkę jego króla aby z niej zrobić potężne bożyszcze. Jest zwyczaj zawieszać po nad grobem każdego kawał płótna w kształcie chorągwi, obecnie płótno to powiewało po nad mieszkaniem królewskiém, nikt bowiem niewiedział z wyjątkiem kilku ludzi zaufanych gdzie pogrzebano nieboszczyka. Podczas dni poświęconych żałobie, starcy zajmowali się wyborem nowego króla. Wybór ten jest również tajemnicą aż do dnia siódmego, w którym ma się odbyć koronacja. Tą razą wybór padł na Njagona, jednego z moich dobrych przyjaciół. Był on ulubieńcem ludu i nadto pochodził z jednéj ze znakomitszych rodzin, niewiem czy rzeczywiście nie odgadywał swego wyniesienia, czy téż odgrywał tylko umiejętnie konieczną rolę. W owym dniu siódmym chodził spokojnie po nad brzegiem rzeki, gdy nagle napadł go tłum ludu aby odprawić pierwszą ceremonję, zdolną według mego zdania odstręczyć od tronu największego pyszałka. Otoczono go do koła nieszczędząc nietylko przekleństw, razów, obelg, lecz nadto plwania, błota i wszelkich nieczystości które rzucano mu na głowę. Za każdém uderzeniem pięści słychać było słowa: „nie jesteś jeszcze naszym królem, możemy więc robić z tobą co nam się podoba, będziesz postępował podobnież z nami późniéj.“ Cudzoziemiec obecny téj scenie, nie byłby stawił grosza o życie owego człowieka który miał być ukoronowanym. Njagoni zachowywał się ciągle jak mężczyzna, z zimną krwią i z uśmiechem na ustach. Po półgodzinnéj torturze wprowadzono go do mieszkania jego poprzednika, usiadł tam lecz chwil kilka jeszcze znosił obelgi swego ludu, poczém dopiero wszystko ucichło a starsi zawołali głośno: „wybieramy cię na króla i obowięzujemy się do wierności i posłuszeństwa.“

(D. c. n).

DWIE ANNY

MAZOWIECKIE KSIĘŻNE.

WSPOMNIENIE Z PRZESZŁOŚCI.

Na zamku krakowskim przygasły kagańce, przycichły gwary rozjeżdżających się po wspaniałéj uczcie biesiadników i tylko w komnacie zajmowanéj niegdyś przez świętobliwą królowę Jadwigę, mgławe jeszcze migało światełko, a na tle jego rysowały się krzyżem obraz Jasnogórskiéj Pani świecił złocistą oprawą, a przed nim srebrna lampka płonęła. W ołtarzyku z dębowego drzewa w misterne rzeźbionego wzory, stał bogaty relikwjarz. Twarda ławeczka do klęczenia niepokryta nawet skórą ani kobier-



Anna z Radziwiłłów księżna Mazowiecka, według portretu znajdującego się pomiędzy wizerunkami Radziwiłłów w rzadkiém dziele Wobego.

cienie kilku osób czuwających mimo spóźnionéj godziny. Komnata owa widocznie przeznaczona była na modlitewnię (oratorium) bo na głównéj środkowéj ścianie, zwieszał się krzyż z czarnego hebanu z pięknym ze słoniowéj kości wizerunkiem. Pod cem, świadczyła że w owych czasach, trudno było połączyć nabożeństwo z jaką taką wygodą. Na innych ścianach wisiały różne obrazy święte, a na jednéj z nich przyczepiona była złocista półka, na któréj piętrzyło się kilka ksiąg w czarną oprawnych

skórę spinanych wielkiemi srebrnemi klamrami. Szerokie ławy i krzesła w białe ze złotem malowania, stały dla wygody niezwykłych gości przyjmowanych niekiedy w modlitewni. Obecnie zasiadły tam trzy osoby, młody mąż wspaniałego oblicza i dwie niewiasty, z których pierwsza była w pełnym rozkwicie bardzo wdzięcznéj urody, druga zaś poważna matrona o łagodnych i pięknych rysach. Byli to: najjaśniejszy nasz Kazimierz Jagiellończyk, Elżbieta Rakuzka młoda przed kilką dniami poślubiona mu małżonka i przybyła do nich w gościnę na weselne gody Anna, wdowa po Władysławie Mazowieckim księciu. Po ukończonych uroczystościach zaślubin, wigilją wyjazdu swego do Warszawy, pragnęła się księżna porozumieć jeszcze ostatecznie z mężem Bożym, który pod ów czas przebywał w Krakowie, a oboje królestwo ułatwiali jéj to widzenie. Niezadługo rozwarły się drzwi wchodowe i przybył gość oczekiwany. Był to mnich o bladéj twarzy, o pełném zapału wejrzeniu; gdy odrzucił kaptur nakrywający mu głowę i pozdrowił zgromadzonych w Chrystusowe imię, zdało się że łuna świetlana skroń mu otoczyła, taki blask miłości i pokoju rozlany był po piękném i szlachetném jego obliczu — i nie dziw — bo Jan z Capistranu gorącą i natchnioną serca swego wymową, zarówno jak czynami chrześcijańskiego miłosierdzia, roznosił wszędzie miłość i pokój Pański. Przybywszy do Polski tak wielki wzbudził zapał dla nauki Chrystusa, którą głosił z umyślnie po temu po za kościołem urządzonéj kazalnicy, że wielu młodych ludzi z najznakomitszych rodzin, nawróciwszy się na dobrą drogę, przyjęło suknię zakonu braci mniejszych Bernardynami zwanych. Za staraniem kardynała Zbigniewa, stanął dla nich wkrótce nieopodal od królewskiego zamku święty przybytek, dzisiejszy kościół Bernardynów na Stradomiu. Księżna Anna powiadomiona o tém wszystkiém za bytnością swą w Krakowie, a do tego słysząc sama kilkakrotnie nauki świętego męża, zapragnęła żywo wybudować w Warszawie klasztor dla synów Śgo Bernarda. Porozumiawszy się już w tym celu z Janem z Capistranu, pragnęła jeszcze wyprosić u niego kilku zakonników, którzyby jéj natychmiast do Warszawy towarzyszyć mogli. Młodziuchna królowa Elżbieta służyła tą razą za tłomacza księżnie, w rozmowie prowadzonéj w języku łacińskim. Jan Śty chętnie skłonił się do objawionego mu życzenia, przyobiecał że sześciu braci pod przewodnictwem ojca Jakóba z Głogowy wyprawi do Warszawy wraz z księżną, która z téj przyczyny dni kilka musi jeszcze zatrzymać się w Krakowie. Bogobojna niewiasta uradowana otrzymaną obietnicą, chętnie przystała na zwłokę w swéj podróży i niezadługo potém wyruszyła wraz z towarzyszącemi jéj zakonnikami.

Na powiślu w pobliżu warszawskiego zamku Mazowieckich książąt, gromada ludzi zajęta była ciężką pracą. Kopano fundamenta na kościół który pobożna księżna założyć chciała pod wezwaniem swéj patronki, a ziemia usuwała się ciągle pod narzędziami robotników; widocznem już było że niedadzą temu rady i gruntu się niedokopią. Ojciec Jakób z Głogowy znękany tą przeciwnością, porzucił już daremną pracę któréj długo przewodniczył i wraz z braćmi udał się wcześniéj na modlitwę do przeznaczonych im tymczasowo komnat zamkowych. Klękli wszyscy przed sporządzonym także przenośnym ołtarzem i jęli odmawiać zwyczajne pacierze, a smutno i ciężko im było bardzo na sercu, bo mimowolnie myśl zajętą mieli kilkodniowym bezskutecznym trudem. Wkrótce zmrok wieczorny zaległ całą komnatę oświeconą tylko bladym płomykiem lampki, zawieszonéj przed Matki Boskiéj obrazem; szare postacie klęczących mnichów zaledwie widzialne były wśród ciemności. Nagle z lampki wystrzelił wysoko w górę ogień niebieskawy i rozświecił najciemniejsze zakątki do koła, a w miejscu gdzie był przed tém obraz Marji z dzieciątkiem na ręku, zdało się braciom, że widzą postać poważnéj i pięknéj niewiasty w ciemnéj szacie. Postać ta podobna była do wizerunku Matki Najświętszéj Dziewicy, zawieszonego w komnacie Mazowieckiéj księżnéj. Wyciągnęła prawicę ku zdumionym zakonnikom i niby muzyka anielska zabrzmiały zcicha w przestrzeni te słowa: *Módlcie się i nieustawajcie w pracy, a wkrótce trudy wasze pomyślny skutek uwieńczy.*

Ojciec Jakób z Głogowy powstał i przetarł oczy azali go sen niezmorzył, lecz w téjże chwili cudowne widzenie znikło a cisza i ciemność nocy znów zaległa komnatę. [1]) Na drugi dzień po tym wypadku ożywieni tajemną nadzieją bracia, z nowym zapałem zabrali się do swéj pracy. Tą razą oczekiwania ich spełniły się, natrafili bowiem na grunt stały i szybko już potém wznieśli mury klasztoru i kościoła, który Andrzéj z Bnina Opaliński biskup Poznański, poświęcił uroczyście w dniu Śtéj Barbary 1454 roku. Dzieło pobożnéj księżnéj wydało z czasem błogie owoce, gdyż klasztor warszawski zasłynął wkrótce szeroko na całą Litwę i Koronę świętobliwemi mężami którzy mu przewodniczyli. Po bogobojnym Jakóbie z Głogowy zarządzał tu Marjan z Jeziorka, Ludwik z Warki i Ludwik z Koźla, pobożni i świątli zakonnicy których ciała w grobach klasztornych spoczęły. Błogosławiony Michał Bal z ziemi Sanockiéj, również jak świętobliwy Rafał z Proszowic, przebywali tu często przez czas długi, nad wszystko jednakże chlubi się słusznie po dziś dzień Zgromadzenie, przewodnictwem czterdziestoletniém, Ładysława z Gielniowa osobliwszego ojczyzny naszéj i miasta Warszawy orędownika. Powieść o tym bogobojnym mężu, prosta jak żywot jego nacechowany wielką miłością i wiarą. Syn ubogiego mieszczanina z miasteczka Gielniowa położonego w Sandomierskim województwie, odznaczając się od dzieciństwa zamiłowaniem nauki i pracy, dla nabycia wyższych umiejętności wysłany został do przesławnéj naszéj Jagiellońskiéj wszechnicy. Słuchając tam wykładów umiejętnych i pobożnych mistrzów, poświęcił się wyłącznie teologji, a gdy Jan z Capistranu zaprowadzał w Krakowie Bernardynów, z rąk jego przyjął suknię zakonną. Przeniesiony późniéj do Warszawy i obrany przełożonym tutejszego klasztoru, zajaśniał na właściwém sobie polu działalności rzadkiemi cnoty, wśród których miłość Bogu i miłość rodzinnéj ziemi, najżywszym zawsze świeciła blaskiem. Lud prosty osobliwie był przez niego umiłowany. Składał dlań pieśni i modlitwy które śpiewał pospołu w kościele. Kazania które miewał szczególniéj zalecały się tém, że oświecały i uzacniały prostaczków, a były zawsze wypowiedziane z takim zapałem, że niezatarte w ich sercu czyniły wrażenie. Podanie mówi że gdy raz przy schyłku już będąc żywota, bł: Ładysław nieustając w pracy około dobra współziomków, kazał w warszawskim kościele w dniu Wielkopiątkowym, mówił tak rzewnie i gorąco o męce Zbawiciela, że pod czas gdy wszyscy przytomni zalewali się łzami, zdało się nagle niektórym z nich wśród zachwytu ducha, że wielebny ojciec uniesion został w powietrze po nad amboną, jakoby na znak, że on już doskonałością swą, raczéj do nieba aniżeli do téj ziemi należy. Podczas gdy sprawował przełożeństwo nad klasztorem, wypadło mu odprawić poselstwo do Rzymu z którego wywiązał się chwalebnie, a powróciwszy do kraju, oddany znów jedynie bogomyślności, w późnym wieku dokonał pełnego trudu i zasługi żywota. Liczne i cudowne legendy powtarzane z ust do ust, równie jak spisane przez pobożnych autorów, świadczą wymownie, jako miano przekonanie że bł: Ładysław i w niebie niezapomina ziemskiéj swéj ojczyzny. Jedna z nich powiada, że gdy mór srogi trapił Warszawę, a pobożni mieszkańcy udali się do świętobliwego orędownika swego, wtedy ujrzano w obłokach po nad miastem, niby smoka strasznego który chciał je pochłonąć, lecz w téjże chwili widziano także jak zakonnik Śgo Franciszka (błogosławiony Ładysław) padł twarzą przed tronem Boga błagając zlitowania. I wyprosił widać miłosierdzie, bo natychmiast usłyszano w powietrzu głos: *Ten który się modli za was jest wielkim w oczach Boga, Warszawo bądź wdzięczna!* i smok straszny z wielkim hukiem rozpadł się na części, a zaraza ustała niebawnie. Miasteczko Gielniów doznawszy podobnejże łaski w czasie powietrza od swego Śgo współziomka, porzuciło dotychczasowy herb swój, a natomiast przybrało sobie na ten cel wizerunek bł: Ładysława, trzymającego w prawéj ręce kolumnę z ubiczowanym Chrystusem w lewéj zaś dyscyplinę. Nadto jeszcze pobożni Gielniowianie postanowili corocznie odprawiać pielgrzymkę do grobu Śgo pa-

[1]) Legenda o ukazaniu się zakonnikom Śtéj Anny, przywiązana jest do początkowéj budowy kościoła Bernardynów Warszawskich.

trona w dzień jego święta. Kości Śgo męża złożone w oddzielnéj kaplicy kościoła Bernardynów warszawskich, czynią tę świątynię najdroższym staréj stolicy Mazowsza klejnotem. Wiele lat upłynęło od śmierci pobożnéj założycielki klasztoru, a dwa zaledwie od zgonu bł: Ładysława, gdy pożar straszny uszkodził przybytek uświęcony jego wspomnieniem. Gwardjan ówczesny Antoni z Biecza jął zbierać składki na odbudowanie, zaledwie jednakże naprawiono szkody, ogień znów zniszczył wszystko. Opuścili ręce strapieni zakonnicy i niewiedzieli co począć — nieśmieli bowiem po raz drugi zaczepiać tych, którzy już wpierw znaczne złożyli ofiary; modlili się więc w opustoszałych murach oczekując zlitowania Boskiego i sami jako tako przynajmniéj z gruzów oczyszczając dom Boży.

A w zamku warszawskim tymczasem zamieszkiwała znów druga księżna Anna, wdowa również, lecz raczéj świeckim niż pobożnym oddana praktykom. Książe Mikołaj Radziwiłł, pan licznych włości na Litwie, z żony Anny Monwidówmej krewnéj Jagiellońskiego domu miał dwie córki. Starsza z nich Zofja wydaną została za węgierskiego magnata, młodszą zaś Annę zaślubił Konrad Mazowiecki książe. Piękna, dumna i bystrego umysłu niewiasta, gdy owdowiała w młodym jeszcze wieku bo w dwudziestym siódmym roku życia, zajęła się pilnie wychowaniem dziatek i zarządem swego księztwa, przybierając tytuł jako rejentka, *Ducissa et tutrix Masoviae*. Historycy mówią że rządy jéj były roztropne i sprawiedliwe, a podwładni jedynie dla tego niebyli z nich zadowoleni, że ulegać niechcieli kobiecie. Ztąd téż różne intrygi i potwarze rzucane na nią, ztąd usiłowania aby obalić władzę księżnéj, a natomiast podlegać raczéj dwom młodzieniaszkom Januszowi i Stanisławowi jéj synom. Hardego serca niewiasta nie chciała ustąpić możnym panom i szlachcie. Oblężona przez powstańców w zamku Makowskim, postanowiła bronić praw swych do ostatka, gdy nagle jako przestroga z nieba aby zakończyć rozlew krwi bratniéj, strzała raniła wychylającego się oknem księcia Stanisława... Przerażona o życie jego matka wróciła na chwilę do lepszych uczuć, rozkazała bój wstrzymać i niezadługo potém usunęła się od władzy i zaszczytów, wraz z córkami Anną i Zofją, młodzi zaś książęta rozpoczęli panowanie pod opieką sześciu doradzców. Ciężkiém było dla Anny rozstanie się z władzą do któréj nawykła. Chcąc ją pocieszyć życzliwi przyjaciele doradzać jęli małżeństwo z Zygmuntem I królem polskim, wdowcem podówczas po Barbarze Zapolskiéj. Chwyciła się tego zamiaru księżna jako deski zbawienia w swém strapieniu. Król właśnie dla spraw domowych bawił w Wilnie. Udała się więc tamże Anna, sądząc że jeżeli nie dla siebie, to dla młodziuchnéj córki skłonić go zdoła. Król przyjął łaskawie piękną jeszcze niewiastę, wysłuchał cierpliwie skarg jéj na niewdzięcznych poddanych i dla lepszego rozpatrzenia rzeczy, obiecał wracając do Krakowa na Warszawę drogę obrócić. Uradowana Anna pośpieszyła gotować wszystko na jego przyjęcie. Ale wkrótce okazało się że zabiegi jéj na niczém spełzły, byli bowiem tacy przy królu, którzy zamierzyli skojarzyć związek z Boną Medjolańską księżniczką i ci odradzili drogi na Warszawę, król zaś zachwycony wizerunkiem pięknéj włoszki który mu ukazali, chętnie dał ucho ich radom.

Pewnego wieczora gdy Anna smutna i utęskniona, rozmyślała jakby doprowadzić do skutku zamierzone dzieło swatów z królem, o którym wiedziała że już jest w Krakowie, przyszedł goniec z zaprosinami na uroczystość zaślubin Zygmunta i Bony... Zachwiała się pod tym niespodziewanym dla jéj dumy ciosem księżna: Zewsząd więc zewsząd upokorzenia, zawołała łamiąc ręce, gdzież ach! gdzież szukać na nie pociechy! *U Boga i w Bogu* odparł jakiś głos uroczysty który ją przeniknął do żywego. Obróciła się na wszystkie strony, chcąc zobaczyć ktoby taki przemówił do niéj, lecz nic nie dostrzegła. Upadła wtedy na kolana i zaczęła się modlić żarliwie. Wzruszona głęboko głosem uśpionego sumienia, który snać przemówił tak żywo, że zdało się jakoby od obecnej w komnacie wychodził istoty, uczyniła najpierw księżna w pokorze ducha ofiarę z wszelkich zawiedzionych nadziei pychy, a potém oczyściwszy w ten sposób serce, wspomniała na bł: Ładysława

patrona Warszawy. Poleciła mu najpierw swe dzieci, a potém potrzeby swego księztwa, błagając aby po wszystkie czasy rozciągał opiekę nad tą ojczyzną miłą. Gdy kończąc modlitwę wzniosła wzrok w niebo, widziała wyraźnie w obłokach, zakonnika w sukni Śgo ojca Franciszka który mówił: *Teraz prożby twe wysłuchane będą.*

W tymże samym czasie pobożny tercjarz brat Eleazar Babski, zabawiając się oczyszczaniem z gruzu korytarzy klasztornych, ujrzał przechadzającą się tamże niby postać Naj: Panny wraz z bł: Ładysławem, z czego zaraz wnosić poczęli zakonnicy, że klasztor ich odbudowany będzie niedługo. Oczekiwania ich spełniły się, wkrótce bowiem powrócił z kapituły Samborskiéj gwardjan Jan z Komorowa i przywiózł wiadomość, że do ofiary Beaty z Tęczyńskich Odrowążowéj wojewodziny Ruskiéj i Jana Lubrańskiego poznańskiego biskupa, Anna księżna Mazowiecka tak znaczną dołożyła obecnie summę, że wkrótce kościół i klasztor wróci do dawnéj swéj wspaniałości. Pałając od chwili cudownego widzenia najżywszém nabożeństwem do bł: Ładysława, Anna nieszczędziła ofiar pieniężnych aby świątynia w któréj wznosił się grób jego należycie opatrzoną była. Bóg niedozwolił jéj doczekać końca budowy — umierając (1522 r. dnia 15 marca) zapisała tysiąc ówczesnych złotych na dalszą fabrykę. Wdzięczni zakonnicy pochowali ją w grobach kościelnych i nagrobek jéj umieścili w ścianie na lewo od wielkiego ołtarza. Kościół na którego wzniesienie złożyły się w ten sposób dwie Anny Mazowieckie księżne, przechodził późniéj różne pamiętne koleje i był ulubionym domem modlitwy królowéj Anny Jagiellonki, która w nim zaprowadziła bractwo swéj patronki, króla Zygmunta III i żony jego Konstancji, a wreście Króla Jana IIIgo, który jak mówi podanie, nieraz stawał w nocy w oknie zamku od strony kościoła i gdy go tamże dochodziły śpiewy pobożne zakonników, głos swój z ich głosem łączył. Jeszcze za życia Anny Jagiellonki, w jéj obecności przy zgromadzeniu wielu panów i biskupów, podniesiono na ołtarz z grobu w którym spoczywały dotąd kości bł: Ładysława. Obecnie umieszczone są w oddzielnéj kaplicy, w pięknie zbudowanym ołtarzu, w którym zasłonięty obraz Śgo zakonnika, odkrywany bywa tylko w dnie kościelnych uroczystości. Na ścianach do koła malowidła i napisy. Najpierw widać Najświętszą Pannę z bł: Ładysławem,



Kościół OO. Bernardynów w Warszawie.

pod niemi klęczy zakonnik, a pod tym obrazem podpis:

Fratri Elzearo Babski tertiario apparet Beatissima Virgo cum Beato Ladislao deambulans per ambitum claustri.

(Bratu Elzearyuszowi Babskiemu tercjarzowi pokazuje się Najśw: Panna z Błog: Ładysławem przechadzając się po korytarzach klasztoru).

Drugi obraz przedstawia niewiastę w koronie, której okazuje się w obłokach Śty Ładysław podpis pod nim:

Anna de Radziviliis Ducissa Masoviae negotia sui Ducatus commendat Beato Ladislao et exauditur.

(Anna z Radziwiłłów księżna Mazowiecka, potrzeby swego księztwa poleca Błogosławionemu Ładysławowi i wysłuchana jest).

Na ścianie przeciwnéj ołtarzowi odmalowano uroczyste podniesienie kości bł: Ładysława z podpisem:

Sublevatio sacrorum ossium Beati Ladislai.

(Wydobycie z ziemi świętych kości Błogosławionego Ładysława).

W czterech rogach kaplicy nazwy czterech części świata:

Europa, *Asia*, *Africa*, *America*.

We drzwiach napis:

Restauratum et depictum anno Domini 1750.

(Odnowiono i odmalowano roku Pańskiego 1750).

A. z Ch. Borkowska.

SZCZYGIEŁEK SWATEM.

NARODOWA POWIASTKA MORAWSKA.

Do licznych zabytków poetycznéj wyobraźni ludów słowiańskich, należy także wdzięczna powiastka morawska, którą podajemy tutaj w przekładzie z czeskiego języka. Powtarzana przez cztery wieki, przeszła z ust do ust aż do naszych czasów w następującéj osnowie:

Przed czterystą laty, mieszkała w ubogim domku miasta Jemnicy piękna i młoda sierota imieniem Róża. Cnota jéj wyrównywała krasie, oddalając od siebie płochych zalotników, zyskała cześć i poszanowanie ludzi statecznych i poważnych, słowem postępowanie jéj w każdéj chwili, mogło być wzorem dla wszystkich młodych dziewcząt. Od świtu do nocy zajęta pracą około ubiorów bogatych mieszczanek lub pań okolicznych, siedząc w okienku swéj izdebki nie miała innéj rozrywki, nad wesoły świergot szczygiełka skaczącego po prętach drucianéj klatki, a jednakże pogodna radość jaśniała na jéj czole. Jeżeli zasępiła się kiedy na chwilkę, to chyba wtenczas gdy wspomniała że jest za nadto ubogą, aby złożyć składkę na budowę kościoła Śgo Stanisława, do któréj wtedy każdy się przyczyniał. Szlachta z całéj okolicy mając na czele możnego pana z Lichtenburga, rozdzieliła niejako pomiędzy siebie wszystkie znaczniejsze koszta. Jemniczanie nie wahali się również przyłożyć do wzniesienia świątyni, która miała przyozdobić ich miasto. W owych czasach nie zbrakło nigdy pieniędzy na podobne dzieło, skąpcy nawet lękaliby się pożałować swych talarów na chwałę Bożą — a cóż dopiero powiedzieć o innych. Ktokolwiek tylko mieszkał w Jemnicy a miał jaki taki grosz zaoszczędzony, biegł go ponieść w ofierze mnichom Cystersom, zawiadującym rozpoczętą budową. Nie dziw więc że biedna Róża zadumała się nieraz nad tém, coby od siebie dać mogła? Pewną razą gdy rozmyślała i smuciła się więcéj niż kiedy, wzrok jéj padł na ptaszka śpiewającego właśnie w owéj chwili najcudniejszą ze swych piosenek i uczuła jakoby natchnienie z nieba aby sprzedać ulubieńca swego, a pieniądze zań wzięte ofiarować na budowę kościoła. Ale gdzież znaleźć wspaniałomyślnego na-

bywcę któryby chciał łożyć na kupno szczygiełka? Nie miała czasu zastanawiać się nad tém długo, bo właśnie otwarły się drzwi izdebki i weszła powszechnie szanowana pani, małżonka sędziego miejskiego Wojena. Przyszła ona aby obejrzeć zdawna zamówioną robotę, szczygiełek zaś, jak gdyby chciał się popisać przed gościem, począł znów wyśpiewywać w najlepsze. Pani sędzina unosząc się nad jego głosem wyrzekła wtedy, że radaby bardzo posiadać podobnego ptaszka, na co Róża oświadczyła natychmiast że go może sprzedać. Zacna niewiasta wiedząc że szczygiełek był jedynym towarzyszem i rozrywką jedyną dziewczęcia, wahała się długo zgodzić na to kupno. Gdy jednak Róża obstawała żywo przy swojém i mówiła że chce koniecznie sprzedać ptaka, w obawie aby tenże nie dostał się komu innemu, dała jéj nowy złoty pieniądz i zabrała szczygła wraz z klatką. Skoro wyszła, biedne dziewczę przycisnęło do ust i serca pieniądz, a potém niebawnie pobiegło złożyć swą ofiarę.

W kilka dni późniéj, opat cystersów będąc w odwiedzinach u sędziego Wojena, spotkał się tamże z możnym burgrabią Prandotą z Wetawy. Burgrabia był to mąż zacny, statecznych obyczajów, ujmującego oblicza i pięknéj postawy. Rozmawiał długo z opatem o rozmaitych przedmiotach aż wreście przyszła kolej i na pogadankę o małżeństwie. — Co do mnie ozwał się wtedy żartobliwie, nigdy się już żenić nie myślę, zanadto jestem zajęty abym miał czas szukać niewiasty po mojéj myśli, kto zaś nie szuka znaleźć nie może. Jeszcze z jaki rok upłynie a zestarzeję się już na dobre, tak że nikomu i na myśl nie przyjdzie, abym mógł jako nowożeniec stanąć przed ołtarzem.

Rozśmiał się na te słowa opat, a szczygiełek niby wtorując mu, począł na cały głos śpiewać wesoło, tak, że po raz pierwszy zwrócił na siebie uwagę sędziego. Zapytana pani Wojenowa zkądby miała ptaszka? opowiedziała historją jego nabycia dodając w końcu: Gdyby Rózia niebyła tak ubogą, nieżyczyłabym lepszéj i piękniejszéj żony panu burgrabiemu. Biéda musiała jéj się w tych czasach bardzo dać we znaki, skoro uszczęśliwioną była dukatem który jéj dałam za szczygiełka, mimo że musiało jéj być przykrém rozłączenie z miłym ptaszkiem.

Opat z widocznem zajęciem słuchał mowy sędziny, zapytał ją potém o dzień i godzinę kupna, a gdy zaspokoił swą ciekawość, wyrzekł półgłosem głęboko wzruszony: — Rozjaśniło się w méj duszy, nabożna dziewica poświęciła ulubione swe ptaszę aby się przyczynić do budowy poświęconéj na chwałę Panu.... a jednakże gdy mi oddawała pieniądz złoty, o mało już niesłuszne podejrzenie nie wcisnęło się do mego serca, chociaż odpierał je czysty i pogodny wyraz jéj niewinnego oblicza.

Burgrabia któren milczał dotąd słuchając z uwagą wszystkiego co mówiono, ozwał się w końcu w te słowa:

— Cała rzecz ta dziwnie się składa — zdaje się, jakoby niebo samo wskazało mi śpiewem szczygiełka co mam przedsięwziąść. Muszę poznać dziewicę którą mi skrzydlaty poseł Pana przeznacza za niewiastę. Jeżeli znajdę w niéj to czego pragnę skończy się samotność moja, nie będę bowiem baczył na pieniądze, jenó na cnotę i wdzięczną urodę.

Zaledwie mówić skończył zadzwoniono u bramy, rozwarły się drzwi komnaty i weszła Róża odnosząc robotę pani sędziny. Twarz jéj rumieńcem spłonęła skoro ujrzała opata obok klatki swego ulubieńca, domyśliła się bowiem że odkryto jéj pobożną tajemnicę.

Nastała chwila milczenia po któréj burgrabia przypatrzywszy się pięknéj i cnotliwéj dziewczynie, stanął przed nią skłaniając się głęboko, ujął potém jéj dłoń drżącą i powtórzył głosem wzruszonym wszystko co mówiono zanim przyszła, ofiarując jéj w końcu swą rękę i serce.

Pobożna dziewica wzniosła łzami zalane oczy w niebo przyjmując wdzięcznie, cudowne i tkliwe oświadczyny Prandoty.

Rozgłos tych zaręczyn rozbiegł się wkrótce po całém mieście — a we cztery tygodnie potém nowożeńcy szli do ołtarza. Wszyscy Jemniczanie cieszyli się całém sercem szczęściem Róży, zasypali ją ślubnemi podarki, a gdy zasiadła przy uczcie godowéj, nie mogli się dość wydziwić jéj cudnéj krasie podniesionéj bogatym strojem. Możny pan na Lichtenburgu obecny całéj

uroczystości, wniósł zdrowie nowo zaślubionéj i prosił aby dar jego przyjęła. Szepnął potém słów kilka sędziemu i jego małżonce i wyszedł wraz z niemi. Wszyscy goście zaciekawieni byli tém, co ofiarować



Małe pacholę niosło ptaszka który był swatem.

zamyślił Róży? — aż tu nagle rozwarły się drzwi biesiadnéj komnaty, powrócił sędzia wraz z żoną, a w téjże chwili z przedsionka doleciał śpiew wesoły szczygiełka. Róża wydała okrzyk radosnego podziwienia i pośpieszyła tam wraz z małżonkiem. Małe pacholę niosło ptaszka który był swatem, w klatce ze złotych i srebrnych drutów owitéj wieńcem z róż i lilji. Ujrzawszy swą panią, szczygiełek pozdrowił ją najpiękniejszą piosenką. Małżeństwo Róży było jak najszczęśliwszém, a powieść o odebranéj hojnéj zapłacie za pobożną jéj ofiarę, przeszła w podanie ludowe.

A. z Ch. Borkowska.

POWIEŚĆ O DWÓCH MIASTACH DICKENSA.

(Dalszy ciąg.)

IV.

Straszny trybunał złożony z pięciu sędziów, odbywał w dzień posiedzenia swoje i rozsełał karty do różnych więzień, na których były wypisane nazwiska osób które miały być stawione przed sądem. Dozorca nim przeczytał nazwiska wynotowanych więźniów, pierwéj zazwyczaj wołał głośno: przynoszę wam wieczorną gazetę, słuchajcie wszyscy!

Karol Ewremonde, przezwany Darnayem!

Usłyszawszy że dozorca wymienił jego nazwisko, wyszedł Karol z tłumu i stanął na stronie w kole innych więźniów. Karol znał dobrze zwyczaje sądowe, bo tysiące już osób w czasie jego obecności tutaj, wyprowadzili tym sposobem z więzienia. Dozorca poprawił okulary na nosie, potém spojrzał na Karola, a przekonawszy się że ten stanął na przeznaczoném mu miejscu, czytał znów daléj zatrzymując się po każdém wymówioném nazwisku. Dwadzieścia trzy wyliczył imion, ale dwudziestu odpowiedziało tylko na wezwanie, bo jeden z więźniów będących na liście umarł nie dawno w więzieniu, a dwóch z nich położyło już głowy pod mieczem giljotyny. Lista była czytaną w wielkiéj sali, gdzie Karol ujrzał się po raz pierwszy w towarzystwie nieszczęśliwych osób, które już co do jednéj wymordowane zostały. Po przeczytaniu nazwisk nastąpiły serdeczne pożegnania, które jednak nie trwały długo, bo więźniowie wymienieni na liście zaraz wyprowadzeni zostali. Chociaż podobne sceny do opisanéj powyżéj, powtarzały się tutaj codziennie, pomimo tego jednak więźniowie oddawali się czasem szalonéj zabawie, a nawet w dniu dzisiejszym przygotowywali się do małego koncertu, który się miał odbyć wieczorem. Pozostali bracia w nieszczęściu, skoro wyprowadzali ich towarzyszów, patrzyli się na nich boleśnie przez kratę i żegnali ich pełnemi łez oczami; ale wkrótce przypomnieli sobie, że trzeba wyznaczyć na miejsca ubyłych inne osoby i że czas już zacząć projektowany koncert, bo zbliża się nocna pora, kiedy straż czujna napełnia wszystkie korytarze i komnaty więzienia i nakazuje powszechne milczenie. Nie myślmy wcale ażeby ci więźniowie pozbawieni byli serca, owszem czuli oni nieszczęścia własne i braci swoich gorąco, ale smutek skoro przechodzi w rozpacz lubi upajać się czasem, a ten szał duszy tak był zaraźliwy, iż widziano często w tym czasie osoby poddające dobrowolnie i z uśmiechem głowy swoje pod miecz kata, tak samo jak można było widzieć więźniów, którzy w wigilją skonu odprawiali serenady wpośród wilgotnych i ciemnych murów więzienia. W czasach powszechnéj zarazy, mniéj więcéj każdy z nas ma skłonność ku panującéj chorobie, a najwięcéj błachy pozór może ją rozwinąć. Przejście wiodące do Conciergerie było krótkie i ciemne, a noc którą tam przepędzili więźniowie w celach, była dla nich długa i bardzo długa.

W dniu następnym, Karol Darnay był szesnastym z porządku, z więźniów którzy stanęli tego poranku przed kratami sądu, piętnastu jego poprzedników skazano na śmierć, a sprawa ich nie przeciągała się dłużéj nad półtory godziny.

Karol Ewremonde został przed sąd z kolei zawezwany.

Sędziowie siedzieli na ławie w kapeluszach z piórami, zresztą wszyscy mieli na głowie czerwone czapki z trójkolorowemi kokardami.

Przypatrzywszy się dobrze sędziom i groźnemu tłumowi który ich otaczał, można było pomyśleć że zwyczajny porządek rzeczy się zmienił i że hultaje sądzą teraz uczciwych ludzi. Najwięcéj upodlona i najokrutniejsza część ludności była przytomną téj scenie, a najgorsi i najdziksi z tego tłumu przewodniczyli obradom; ci przyklaskiwali rozprawom sędziów, tamci przeczyli ich zdaniom, a ci i owi nakłaniali do pośpiesznego wydania wyroku. Mężczyzni zbrojni byli w różne narzędzia, kobiety po większéj części miały noże, niektóre z nich,

zajadały spoglądając w milczeniu to na sędziów to na oskarżonych, a inne trzymały w ręku robotę i znaczyły ściegi; do rzędu tych ostatnich należała kobieta, która stała tuż obok Defarg'a, a jak domyślał się Karol, ta niewiasta musiała być żoną właściciela winnego handlu, ale zdziwiło go mocno to spostrzeżenie że ani Defarge ani jego żona nie spojrzeli na niego wcale; szeptali tylko po cichu, z oczami spuszczonemi w ziemię. Obok prezydującego siedział doktór Manette, on tylko i pan Lorry odznaczali się z całego tłumu zwyczajną odzieżą, wtedy gdy wszyscy przytomni pstre i dziwaczne mieli na sobie szaty.

Prokurator sądowy wystąpił z oskarżeniem Karola Darnaya, nazywając go arystokratą i emigrantem, którego głowy domaga się rzeczpospolita na mocy zapadłego dekretu, skazującego na śmierć wszystkich emigrantów, a chociaż wyrok zapadł już po powrocie Karola do Francji, niemniéj przeto, jako emigrant, podlega jego postanowieniom i powinien postradać życie.

— On wrogiem jest rzeczypospolitéj, precz z jego głową! wołali zewsząd w tłumie.

Prezydujący zadzwonił na znak że głos chce podnieść, a kiedy wrzawa nieco ucichła zapytał się więźnia, czy jest prawdą że przez lat kilka mieszkał w Anglji?

Odpowiedział Karol że tak jest niewątpliwie.

Czy prawda że jest emigrantem?

Odpowiedział że w żadnym razie emigrantem w obecném znaczeniu słowa, nazywać się nie może.

— Czemu?

— Nie jest emigrantem ponieważ dobrowolnie wyrzekł się tytułów i majątku, a przeniosłszy się do Anglji pierwéj jeszcze nim trybunał dzisiejszy ustanowionym został, utrzymywał się za granicą z pracy rąk własnych, nie chcąc żyć kosztem ludu, który w nędznym znajdował się stanie.

Zapytał się prezydujący jaki dowód przedstawi na potwierdzenie słów swoich?

Karol wymienił nazwiska dwóch świadków Teofila Gabelle i Aleksandra Manette.

— Czy ożeniłeś się w Anglji?

— Tak jest, ale nie z angielką.

— Z obywatelką rodem z Francji?

— Tak jest.

— Jak się nazywa?

— Łucja Manette, córka doktora, który jest tutaj obecny.

— Ta odpowiedź wywarła dobry wpływ na słuchaczów, okrzyki uwielbienia podniosły się nad głową doktora, a tak dziwnie zmieniony był umysł tego ludu, że ci sami którzy przed chwilą gotowi byli rzucić się na Karola i rozerwać go na kawały, teraz wylewali nad nim łzy gorące.

Karol Darnay odpowiadał na pytania według instrukcji udzielonéj mu poprzednio przez doktora, a widząc jak dobry skutek wypływał z jego rady, postanowił i nadal nieodstępować od niéj.

Prezydujący zapytał się znów więźnia czemu tak późno powrócił do Francji?

Odpowiedział że nie wracał pierwéj ponieważ znalazł utrzymanie w Anglji, dając lekcje francuzkiego języka i literatury, kiedy tymczasem we Francji nie widział dla siebie żadnego sposobu do życia. Teraz wrócił do kraju w zamiarze wyswobodzenia z więzienia nieszczęśliwego obywatela, który śmierć poniósłby nieochybną, gdyby on sam nie stawił się przed sądem i nie dał świadectwa o jego niewinności. Pyta się teraz czy ten postępek można nazwać zbrodnią przeciwko dobru rzeczypospolitéj?

Lud wykrzyknął z uniesieniem: nie! Prezydujący zadzwonił ażeby się uciszyli, ale lud niezważając na to krzyczał ciągle, nie!

Prezydujący zapytał jak się nazywa ten obywatel?

Oskarżony odpowiedział że obywatel ów nazywa się Gabelle, a na dowód że został przez niego wezwany przytoczył list jego własnoręczny, który odebrali mu na rogatkach, a który wraz z innemi papierami powinien znajdować się w sądzie. Doktór poszukał wspomnianego listu, a znalazłszy przedstawił go sędziom i przeczytał.

Na wezwanie prezydującego stawił się świadek Gabelle i zeznał że wszystko co mówił obywatel Ewremonde jest prawdą i że w skutku jego powrotu do Francji uwolniony został przez trybunał patrjotyczny. Następnie zabrał głos drugi świadek Karola doktór Manette. Wystąpienie znanego doktora od razu silne sprawiło wrażenie, a kiedy opowiedział cały bieg ży-

cia Karola, mianowicie jak ten poświęcał się dla niego i dla jego córki którą pojął za żonę, jak nareszcie jego liberalne zasady ściągnęły mu prześladowanie i jako Karol był więziony w Londynie, na mocy podejrzenia jakoby dopomagał Stanom Zjednoczonym z krzywdą Anglji, wtenczas sędziowie przychylili się zupełnie do żądania ludu i prezydujący wśród grzmotu oklasków i okrzyków uniesienia objawił, że Karol Ewremonde oczyścił się z wszelkich zarzutów i uwolniony jest z więzienia.

Zaledwie wyraz uwolniony wyszedł z ust sędziego, aliści ci sami ludzie, którzy dopiero przed chwilą przelewali krew strumieniami, teraz zwilżają oczy obfitemi łzami, rzucają się ku niemu z rozwartemi ramiony i o mało nie zaduszą go w serdecznych uściskach. Karol odpowiada dziękczynieniem na te oznaki współczucia, chociaż wié o tém dobrze, że skoro wiatr powieje z innéj strony, ci sami ludzie i z tym samym rzucą się ku niemu zapałem, ale raczéj w zamiarze ukamienowania go, lub rozerwania na części. Z powodu sądu który znów się rozpoczął nad innemi więźniami, Karol Darnay uwolniony został od serdecznych uścisków. Wkrótce zapadł wyrok trybunału względem pozostałych pięciu oskarżonych. Jeden z sędziów podniósł palec do góry, co było znakiem śmierci, a lud wykrzyknął jednozgodnie: niech żyje rzeczpospolita! Ale w sali sądowéj mała była liczba słuchaczów, bo największa część spektatorów pobiegła za doktorem, który zaraz po uwolnieniu Karola wyszedł z izby sądowéj. Zaledwie pokazał się na podwórzu pan Manette, rzucił się lud ku niemu z płaczem i okrzykami, a zapał ów równał się szaleństwu. Za danym znakiem wyniesiono ogromne krzesło, nad którém czerwoną wywiesili chorągiew, a przywiązawszy z tyłu ogromną dzidę z czerwoną czapką, posadzili w niém doktora i na tym tryumfalnym wozie przy okrzykach licznéj processji, zanieśli go aż do wrót jego domu. Skoro tylko pan Manette wydostał się z objęć rozszalałego pod wpływem chwilowego wrażenia ludu, natychmiast chciał iść do pokoju Łucji, ale ona wybiegła na spotkanie męża i upadła w jego objęcia omdlała. Kiedy Karol przyciskał do serca ukochaną małżonkę niektórzy z ludu rozpoczęli taniec, poczém wszyscy poszli za ich przykładem i po całém dziedzińcu wybijali takt karmanioli i wirowali wesoło. Następnie wyciągnęli z tłumu młodą kobietę, którą uczcili mianem bogini wolności i posadzili ją na opróżnionėm krześle. Ale zauważali że za szczupłe są szranki dziedzińca, więc w szalonych tanach wypłynęli na ulicę, w gwałtownym pędzie porywając z sobą każdego kogo spotkali na drodze i tak wir karmanioli rozchodził się po ulicach, po nad rzekę, a nawet na moście.

Kiedy Karol uściskał z wdzięcznością rękę doktora, a następnie powitał pana Lorry i ucałował czule maleńką Łucję, wtenczas odwrócił się znów do żony i zawołał: moja druga Łucjo, bądź spokojna, jestem już uwolniony.

— Pozwól kochany Karolu, że podziękuję za to natychmiast Bogu, który wysłuchał prośb moich.

Łucja uklękła, wszyscy przytomni skłonili głowy i nastała chwila uroczystego milczenia.

Karol zbliżył się znów do Łucji, a obejmując ją czule, rzekł do niéj: teraz podziękuj twojemu ojcu kochanie moje, bo po Bogu, on najwięcéj przyczynił się do mego uwolnienia.

Zbliżyła się Łucja do ojca i całowała jego ręce, potém przycisnęła czoło do jego piersi, tak samo jak niegdyś ojciec jéj stary, tulił do niéj siwą skołataną nieszczęściami głowę.

Uczucie zadowolenia i szlachetnéj dumy malowało się na obliczu starca. „Nie bądź tak słabą i nie drżyj droga Łucjo,“ rzekł pan Manette. „Karol twój znajduje się już przy tobie, ja go oswobodziłem.“

V.

Łucja odzyskawszy męża nie mogła dość nacieszyć się jego widokiem, a przecież drżała z obawy myśląc o jego przyszłości. Wszystko na około było ponure i groźne, rozkiełznane namiętności ludowe nieznały miary w krwawych czynach zemsty, a tysiące niewinnych osób padało ciągle ofiarą podejrzenia lub złości. Wiedziała Łucja że równie zacne jak jéj męża głowy, padały

codziennie pod mieczem giljotyny, a kiedy siedząc w swoim pokoju przy oknie, przed zachodem słońca, ujrzała przejeżdżające straszne wozy, zdawało jéj się że widzi pomiędzy skazanemi na śmierć oblicze drogiego Karola i uciekała z trwogą od okna, a wbiegłszy do pokoju męża tuliła się do niego i ściskała jego ręce ze łzami.

Pan Manette pocieszał jak mógł i krzepił Łucję, a nie tylko że nie powracał nigdy do dawnego stanu, ale owszem stał się teraz obrońcą i aniołem opiekuńczym ich wszystkich.

Rodzina doktora utrzymywała się teraz bardzo skromnie, po części z obawy ażeby nie ściągnąć podejrzenia, a w części dla braku funduszów, które z powodu uwięzienia Karola znacznie wyczerpane zostały. Mieli jedynego służącego a tym był Jerry, którego pan Lorry oddał na czas nieograniczony do nich. Jerry był zawsze na zawołanie i używali go do wszystkiego, a nawet noc całą przepędzał w mieszkaniu doktora. Stósownie do rozkazu rzeczypospolitéj jednéj i nierozdzielnéj, imiona wszystkich mieszkańców musiały być wypisane nad drzwiami każdego domu, zatém i nazwisko Jerzego Chrunchera ozdabiało wnijście.

Zaraz po powrocie Karola, kazał doktór malarzowi wypisać jego nazwisko na tablicy przed domem.

Było już nad wieczorem; pan Manette, Karol, jego żona i maleńka Łucja siedzieli razem w pokoju sypialnym około kominka, na którym palił się ogień. Pana Lorry nie było jeszcze pomiędzy niemi ale spodziewali się go co chwila. Piastunka zapaliła lampę, lecz postawiła ją na uboczu, ażeby osoby siedzące przy kominie mogły się w pełni nasycać widokiem płonącego drzewa.

Maleńka Łucja siedziała na kolanach dziadka, który jéj opowiadał historję o pewnéj wieszcze, co cudownym sposobem oswobodziła więźnia, który jéj niegdyś uczynił jakąś przysługę. Cisza panowała na około, a żona Karola nigdy może nie czuła się tak spokojną jak w obecnéj chwili.

— Co to jest? zawołała nagle Łucja zrywając się z krzesła.

— Uspokój się moja droga, rzekł ojciec, przerywając rozpoczęte opowiadanie i kładąc rękę na jéj ramieniu — najmniejszy hałas cię trwoży i drżysz sama niewiedząc dla czego.

— Byłam zupełnie spokojna mój ojcze, ale zdało mi się w téj chwili, że usłyszałam odgłos wielu kroków ludzkich na schodach.

— Co ci się zdaje moje dziecię? nic nie słychać, — schody są jak śmierć milczące.

Zaledwie wymówił ostatni wyraz pan Manette, dało się słyszeć silne uderzenie do drzwi.

— O mój ojcze, mój ojcze, co to się znaczy? ukryj Karola, ratuj go na Boga!

— Moje dziecię — nie obawiaj się o niego. Oswobodziłem Karola i nic mu nie zagraża już dzisiaj. Ale zaczekaj, ja sam pójdę i dowiem się co ten łoskot znaczy.

Doktór poszedł z lampą do przyległego pokoju i drzwi roztworzył. W przedpokoju słychać było stąpanie kroków i wkrótce ukazało się czterech ludzi w czerwonych czapkach, uzbrojonych w szable i pistolety.

— Szukamy obywatela Ewremonda, rzekł pierwszy z nich.

— Kto go szuka? zapytał Karol.

— My go szukamy; a ja cię znam Ewremondzie, bo widziałem cię stawającego przed trybunałem; niech ci więc będzie wiadomo, że jesteś znów więźniem rzeczypospolitéj.

Kiedy żona Karola i maleńka Łucja tuliły się do niego, ludzie, którzy się mienili być przedstawicielami rzeczypospolitéj otoczyli go kołem.

— Powiedzcie mi za co mam być znów uwięziony?

— Powiem ci tylko teraz że masz się udać natychmiast do Conciergerie, o reszcie zaś dowiesz się jutro.

Pan Manette który stał dotychczas nieporuszony jak posąg kamienny, postawił teraz lampę na stronie, a zbliżywszy się do jednego z patrjotów, uchwycił go lekko za kołnierz od czerwonéj koszuli i rzekł: mówicie że znacie tego obywatela a mnie czy poznajecie?

Znamy cię obywatelu doktorze — odpowiedzieli wszyscy.

Pan Manette popatrzył się na nich błędnym wzrokiem, nareszcie po chwili milczenia rzekł zniżonym głosem: czy raczycie

odpowiedzieć mi na pytanie za co aresztujecie tego obywatela?

— Obywatelu doktorze, rzekł jeden z nich niechętnie, Ewremonde został oskarżony w cyrkule Śgo Antoniego. Ten oto obywatel, rzekł wskazując na wchodzącego do pokoju człowieka, należy do tego cyrkułu.

Obywatel który wszedł w téj chwili dał znak potwierdzający głową i dodał: tak, Ewremonde został oskarżony przed nami.

— Jakiego rodzaju jest to oskarżenie?

— Obywatelu doktorze, rzekł znów pierwszy, jako dobry patrjota powinieneś chętnie ponieść każdą ofiarę, jakiéj tylko rzeczpospolita żąda od ciebie; interes ludu nad wszystko przekładać wypada. Żądanie ludu jest najwyższém prawem. Ewremondzie śpiesz się, bo nie mamy czasu.

— Jeszcze jedno chciałbym wam zrobić zapytanie, rzekł doktór. Powiedzcie mi, proszę, przez kogo Karol Darnay jest oskarżony.

— To nie do nas należy, odpowiedział pierwszy, ale możecie się o to zapytać tego oto obywatela, który jest z cyrkułu Śgo Antoniego.

Doktór zwrócił się ku obywatelowi o którym była mowa, ale on zdał się czas jakiś wahać i dopiero po chwili namysłu powiedział:

— Nie mamy wprawdzie zwyczaju odpowiadać na podobne pytania, ale jeżeli koniecznie chcecie wiedzieć obywatelu doktorze, mogę wam donieść, że Karol Ewremonde jest oskarżony przez obywatela Defarge'a, jego żonę i jeszcze przez jednę osobę.

— Jak się nazywa ta trzecia osoba?

— Jak się nazywa, pytacie mię obywatelu?

— Tak jest.

— Dowiecie się o tém jutro, dzisiaj nie wolno mi wymienić jéj nazwiska, rzekł zapytany z dziwnym w oczach wyrazem.

VI.

Kiedy zaszły powyżéj opisane wypadki w domu doktora, w tym samym czasie, panna Pross, piastunka małéj Łucji w towarzystwie Jerzego Chrunchera wstąpiła do winnego handlu, ale wielkie jéj było zdziwienie, kiedy w gronie osób znajdujących się w sklepie spostrzegła i poznała brata swego imieniem Salomona, którego nie widziała już od lat wielu i miała zupełnie za straconego. Nie miłego na samym wstępie doznała wrażenia, kiedy gdy wymówiła jego nazwisko, zaklął ją na wszystko ażeby nie nazywała go po imieniu jeżeli go nie zechce zgubić. Jerry przypatrywał mu się bacznie i zdawało mu się że go znał niegdyś dobrze, a podejrzenie jego sprawdziło się zupełnie, kiedy zbliżył się ku nim mężczyzna w podróżném ubraniu, a kładąc rękę na ramieniu Salomona zawołał: Barsad!

Tak, to jest John Barsad, powtórzył Jerry.

Jegomość który przyłączył się w téj chwili do nich był to Sydnej Karton.

— Nie obawiaj się niczego panno Pross, wczorajszego wieczora przybyłem do Paryża do pana Lorry, któremu dałem słowo że przyjadę, jeżeli się dowiem iż jakie bądź niebezpieczeństwo zagraża któremu z moich znajomych. Przyszedłem tutaj w zamiarze pomówienia z twoim bratem. Żal mi cię mocno, twój brat obrał sobie ohydną rolę, bo ten pan Barsad jest szpiegiem więzień.

Szpieg pobladł okropnie i zapytał się Kartona, jak on śmie go tak znieważać.

— Dowiedz się panie Barsad, mówił dalej Sydney, że widziałem przed godziną jak wychodziłeś z więzienia, następnie szedłem za tobą do winnego handlu i przysłuchiwałem się rozmowie, która mię utwierdziła w podejrzeniu. Znam cię już oddawna i wiem o wszystkich twoich sprawkach, ale nie zaczepiałbym cię wcale, gdybym w tém nie miał pewnego ważnego celu.

— O jakim celu pan mówisz? zapytał z niespokojnością Barsad.

— O tém niebezpiecznie byłoby mówić w tém miejscu; jeżeli więc chcesz się dowiedzieć, pójdź ze mną do domu Tellsona.

— Może mi pan chcesz czynić pogróżki?

— Ach, któż panu powiedział o pogróżkach!

— Więc pocóż mam iść z panem?

— Dowiesz się potém, a teraz ci powiem tylko panie Barsad, że jedynie przez szacunek dla twojéj siostry, nakłaniam cię grzecznie do umowy, która jak się spodziewam

zobopólném naszém powinna się zakończyć zadowoleniem. Powiedz pan stanowczo, czy zechcesz iść ze mną?

— Dobrze, ciekawy jestem co mi pan masz powiedzieć?

— Najprzód odprowadzimy pańską siostrę do rogu ulicy, na któréj znajduje się dom doktora, bo jéj przewodnik Jerry Chruncher musi się także udać z nami. Idźmy!

Pan Lorry dopiero co wstał po obiedzie od stołu, kiedy roztworzyły się drzwi jego pokoju i ujrzał z podziwem obcego człowieka który wszedł w towarzystwie Sydneya i Jerzego.

— Brat panny Pross, rzekł Sydney — pan Barsad.

— Barsad? powtórzył Lorry, zdaje mi się że znam nazwisko a nawet twarz tego pana.

— Ja utrzymuję także że pan Barsad ma rysy twarzy wyraziste, których zapomnieć nie można, rzekł obojętnie Karton.

— Siadaj panie Barsad!

Kiedy szpieg usiadł, Sydney rzekł do pana Lorry: świadek w sprawie Karola w Londynie.

Pan Lorry przypomniał sobie natychmiast rolę Barsada i z nietajoném oburzeniem spojrzał się na niego.

— Panna Pross poznała swojego czułego brata Barsada, rzekł Sydney i nie zaparła się tego pokrewieństwa. Ale daleko smutniejszą i gorszą muszę ci udzielić panie Lorry nowinę: Karol Darnay został powtórnie aresztowany dzisiaj.

Starzec z przerażeniem załamał ręce i zawołał: co mówisz! byłem przed dwoma godzinami w ich domu i rozmawiałem z Karolem.

— Jednak nie podlega wątpliwości że jest już uwięziony, kiedy to miało miejsce panie Barsad?

— Karol Darnay został aresztowany przed chwilą.

— Zeznanie pana Barsad zasługuje na wiarę rzekł Sydney, słyszałem to samo z ust jego w handlu winnym, jak opowiadał swemu towarzyszowi siedząc z nim przy butelce wina.

— Jutro ma być podobno sądzony Karol, czy tak jest panie Barsad?

— Tak jest.

— Nie wiem czy pan Manette zdoła powtórnie uratować Karola, ale to wiem że i ja z mojéj strony dopomagać mu będę. Nastały dzisiaj czasy, w których gra idzie o śmierć lub życie; niech doktór bije się o wygraną, ja gotów jestem samego siebie postawić na kartę, życie tutaj jak uważam nie ceni się wiele; lud tego samego skaże jutro na śmierć, którego wynosił dziś w tryumfie na swoich ramionach. Dla dopięcia mojego zamiaru potrzeba mi tylko zjednać sobie przyjaciela w Conciergerie, a tym przyjacielem, którego wygrać zamyślam, jest pan Barsad.

— Pan musisz mieć dobrą kartę, kiedy już naprzód wróżysz sobie wygraną? rzekł szpieg.

— Szalony jest gracz ze mnie i znam się dobrze na kartach, odpowiedział Sydney. Panie Lorry, znamy się dobrze, więc nie zadziwisz się że cię poproszę o butelkę wina.

Sydney Karton wychylił jednę, potém drugą szklankę i tak ciągnął rzecz swoją daléj:

— Panie Barsad jesteś teraz szpiegiem rzeczypospolitéj francuzkiéj, a niegdyś byłeś w tym samym charakterze sługą arystokratycznego rządu, który jest nieprzyjazny dla Francji, z czego wypływa wniosek jak dzień jasny, że jesteś zawsze panie Barsad szpiegiem płatnym angielskiego rządu i Pitta, a zatem zdrajcą i wrogiem rzeczypospolitéj, któréj ofiarowałeś swoje usługi. Przyznaj łaskawy panie, że mam dobrą kartę i że nie łatwo dam się pobić.

— Nie rozumiem twojéj gry, odpowiedział szpieg z niespokojnością.

— Więc zadaję ci tuza, to jest oskarżam cię przed trybunałem rewolucyjnym; a co, czy nie prawdę mówiłem że wygrana będzie moją? Zobacz teraz twoje karty panie Barsad, ale radzę ci porachuj dobrze, dopóki masz jeszcze czas do namysłu.

Nalał znów szklankę i wychylił, a zauważał że na twarzy szpiega malowała się w téj chwili wielka niespokojność, jak gdyby obawiał się że Karton zagrzany winem gotów jest pójść natychmiast do którego bądź z komitetów ludowych i oskarżyć go o zdradę. Rola Barsada w saméj Francji była bardzo dwójznaczna, bo zanim został

szpiegiem rzeczypospolitéj, pełnił przed rewolucją ten sam obowiązek w policji tego samego cyrkułu w którym znajdował się winny handel Defarge'a. Wiedział on o tém dobrze że oskarżenie Kartona w połączeniu z podejrzeniem które oddawna ciąży na nim, może nieochybnie go zgubić, a zastanawiając się nad tém wszystkiém, znajdował się Barsad w téj chwili pod wpływem strasznéj trwogi.

— Jakże, zapytał zimno Sydney, czy nie dajesz mi jeszcze za wygraną i chcesz daléj grać ze mną?

— Ja zdaję się na sąd tego pana, rzekł szpieg pokornie, zwracając się ku panu Lorry, przypuśćmy że pełnię urząd szpiega, którego jeżelibym ja się nie podjął, to kto inny wykonywać go będzie, choć nie przeczę że ten obowiązek źle jest uważany przez ludzi; ale czy to dobrze, ażeby tak zacny obywatel jak pan który mi wyrzuca że jestem szpiegiem, przyjmował na siebie rolę którą pogardza i oskarżał mię przed trybunałem?

— Mówię że zadaję tuza, odpowiedział za pana Lorry Sydney, a ty panie Barsad musisz przyznać że jesteś pobity.

- Mam nadzieję panowie, rzekł szpieg pokornie zwracając błagalne wejrzenie to na pana Lorry to na Sydneya, że z szacunku który macie dla mojéj siostry, nie zechcecie....

— Największy okażę dowód szacunku dla pańskiéj siostry jeżeli ją pozbawię na zawsze takiego brata.

— Ale pan nie zrobisz tego?

— Tak zrobię, to jest ostateczne moje postanowienie, nad którém namyślałem już długo. A teraz powiedz mi panie Barsad jak się nazywa i zkąd jest rodem ten twój towarzysz, który wraz z tobą jest stróżem i szpiegiem więzienia?

— Francuz.

— Być może; ja jednak sądziłbym po jego wymowie że on jest cudzoziemcem.

— W istocie, on mówi prowincjonalnym akcentem.

— Kłamstwo! zawołał Karton uderzając o stół pięścią. Ten twój towarzysz nie jest Francuzem, nazywa się Roger Cly i stawał z tobą jako świadek przeciwko Karolowi Darnay, w Londynie.

— Jeżeli tak pan sądzisz, to mylisz się bardzo, bo ci dowieść mogę że Cly umarł dawno i jest pochowany w Londynie, na cmentarzu Śgo Pankracego; jeżeli mi pan niewierzysz, mogę ci pokazać akt zejścia.

W téj chwili zauważał pan Lorry na twarzy Chrunchera wyraz pomięszania i zdało mu się jakoby jego twarde jak szczecina włosy powstawały nagle na głowie, a kiedy szpieg wydobywał z kieszeni papier w zamiarze przekonania Sydneya o śmierci towarzysza, Jerry Chruncher zbliżył się po cichu do Barsada i trącił go po ramieniu.

— Czy pan włożyłeś sam do trumny tego Rogera Cly?

— Ja sam.

— A kto go z niéj wyciągnął?

— Co pan myślisz przez to powiedzieć?

— Ja myślę że Cly nie leżał nigdy w trumnie, a za prawdę słów moich gotów jestem ręczyć głową.

Szpieg spojrzał się na pana Lorry i Sydneya, a ci z podziwieniem spoglądali się na Jerrego.

— Jeszcze raz powiadam że nie pochowaliście Rogera ale tylko kamienie, które zamknęliście w trumnie; na to przysięgnę i postawię dwóch świadków.

— Zkąd wiesz o tém?

— Nic ci do tego, powiem tylko że ci dowiodę oszustwa i że w każdéj chwili gotów jestem zadusić cię za pół gwinei.

Sydney Karton i pan Lorry zadziwieni niespodziewaném zeznaniem Chrunchera, zażądali od niego, aby się wytłomaczył, zkąd poczerpnął wiadomość, która tak zmieszała szpiega, ale Jerry oświadczył że dalsze objaśnienia do innego odkłada czasu, teraz zaś jeżeli szpieg ośmieli się przeczyć jego słowom, natenczas on albo zadusi go natychmiast, albo oskarży przed trybunałem rzeczypospolitéj.

— Radzę ci panie Barsad przyznaj mi wygraną i poddaj się warunkom które na ciebie włożę, bo inaczéj powiadam ci że zginiesz nieochybnie. Jesteś sam szpiegiem i łączysz się węzłem przyjaźni ze szpiegiem angielskiego rządu, jesteś wrogiem rzeczypospolitéj i za to czeka cię giljotyna. Czy będziesz jeszcze grać dłużéj ze mną?

— Nie! wyznaję że ukryliśmy Rogera Cly przed wściekłością tłumu, który mu

zagrażał śmiercią, chociaż nie pojmuję tego wcale jakim cudem ten pan mógł dowiedzieć się o tym wypadku.

— Nie łam sobie nad tém darmo głowy! zawołał Chruncher. Rozprawiaj się teraz z tym panem, a ja znajdę zawsze dość czasu i zaduszę cię na zawołanie w każdéj chwili za pół gwinei.

Barsad zwrócił się twarzą ku Kartonowi i rzekł: przypominam sobie że nim zgodziłem się iść z panem do domu Tellsona, mówiłeś mi że chcesz umawiać się ze mną. Czy nie mógłbym teraz zapytać jakie są warunki téj umowy?

— Dobrze, jesteś stróżem w Conciergerie.

— Powiadam panu raz na zawsze że ucieczka z więzienia jest niemożebną.

— Czemu odpowiadasz na to o co ci się nie pytam. Czy jesteś stróżem?

— Bywam czasami; wolno mi zresztą wchodzić do więzienia o każdéj porze.

Sydney wychylił szklankę wina i rzekł: dość już rozmawialiśmy przy świadkach, teraz muszę pomówić z tobą sam na sam. Chodźmy do ciemnego pokoju.

VII.

Kiedy Sydney Karton rozmawiał ze szpiegiem w przyległym ciemnym pokoju, pan Lorry pozostawszy sam na sam z Jerrym, patrzał się na niego badawczym i niedowierzającym wzrokiem. Zeznanie Chrunchera nasuwało myśl panu Lorry, że człowiek posiadający tak dokładne wiadomości o tajemnicach cmentarza, niekoniecznie zacném musiał się zatrudniać rzemiosłem, nadto, niespokojność malująca się w téj chwili na twarzy Jerrego, utwierdzała jego pana w tém podejrzeniu.

— Jerry, rzekł Lorry, przybliż się do mnie.

Jerry wystąpił bokiem, z jedném ramieniem wysuniętém naprzód.

— Powiedz mi szczerze, oprócz urzędu odźwiernego, który piastujesz przy domu Tellsona, jakiém jeszcze zatrudniasz się rzemiosłem?

Po chwili namysłu Jerry odpowiedział: zatrudniam się grabarstwem.

Pan Lorry pogroził mu palcem i rzekł: prawie pewny jestem tego, że nadużywasz zaufania wielce szanownego domu Tellsona i że rodzaj twego zatrudnienia jest nieprawy i nikczemny; pamiętaj że jeżeli dowiem się o twoich niecnych sprawach, nie ujdzie ci to bezkarnie i że utracisz na zawsze sposobność uczciwego zarobku, który miałeś dotąd przy naszym domu.

Jerry upokorzył się i przyznał że dawne jego postępki nie zasługują wprawdzie na pochwałę, ale w razie gdyby nie mógł spodziewać się przebaczenia, prosi za swoim synem młodym Jerzym, ażeby ten nastąpił po ojcu na urząd odźwiernego; na zakończenie téj prośby dodał, że jakikolwiek los go czeka, postanawia na przyszłość zmienić rodzaj zatrudnienia, które teraz nie podoba mu się już wcale.

Tu pan Lorry przerwał Jerzemu, mówiąc, że nie żąda od niego płonnych obietnic, ale raczéj czynów, któremi tylko przekonać go może o prawdziwéj skrusze i poprawie. Podejrzenie zacnego bankiera było jak najsłuszniejsze, albowiem Jerzy trudnił się w Londynie odgrzebywaniem umarłych. Pewnego razu, kiedy Jerzy Chruncher stał przed domem Tellsona, doszła wieść do jego uszów, że szpieg Rogier Cly umarł i że ciało jego wyprowadzają na cmentarz; postanowił więc uczciwy rzemieślnik Jerry, przekonać się naocznie o wspomnianym fakcie; tejże saméj nocy i w tym celu udał się wraz z kilku towarzyszami swemi do wskazanego miejsca. Ci zacni przemysłowcy wydobywają trumnę i odkrywają wieko, ale wielkie ich było zdziwienie, kiedy zamiast zwłok nieboszczyka, spostrzegli mnóstwo kamieni, któremi do połowy była napełniona trumna. Wybieg szpiega rozgniewał Jerzego srodze, a oburzenie jego doszło do najwyższego stopnia, kiedy John Barsad ośmielił się dowodzić że Roger Cly umarł i został pochowany w Londynie; usłyszawszy to bezczelne kłamstwo i przypomniawszy sobie zawód doznany owéj nocy, pan Chruncher postanowił ukarać niecnego zdrajcę i dla tego zaprotestował tak energicznie przeciwko zeznaniu Barsad'a, jakoby towarzysz jego pogrzebany został w Londynie.

— Bądź zdrów panie Barsad! rzekł Karton do szpiega, wychodząc z nim z ciemnego pokoju — umowa nasza już ukończona, nie masz więc powodu obawiać się mojego

gniewu; to powiedziawszy usiadł naprzeciwko pana Lorry. Kiedy zostali sami, ten ostatni zapytał Sydneya jaką zawarł ze szpiegiem umowę.

— Nic ważnego, zawarowałem sobie tylko ażeby mi Barsad ułatwił wejście do więzienia, w razie gdyby sprawa Karola zły wzięła obrót.

Twarz pana Lorry zachmurzyła się w téj chwili i wyrażała niespokojność.

— Więcéj bez narażenia jego życia nie mogłem żądać od niego i on mi oświadczył wyraźnie, że do ucieczki więźniowi dopomagać nie zechce, bo musiałby za to położyć swą głowę pod miecz giljotyny, a w żadnym razie nic gorszego spotkać go nie może.

— Ależ zastanowiłeś się nad tém Kartonie, że jeżeli zły obrót weźmie sprawa Karola, twój wstęp do więzienia nie ocali go wcale.

— Ja też nic nie mówię o ocaleniu Karola.

Pan Lorry smutnie spojrzał na płomień dogorywający w kominie; obraz przyjaciela, którego już uważał za straconego, stanął mu w téj chwili w myśli, niespokojność i boleść ścisnęła serce starca i łzy gorące potoczyły się po jego licach.

— Jesteś najzacniejszym i najwierniejszym z przyjaciół, szanowny panie, rzekł Karton zmienionym głosem, jakby pod wpływem silnego wzruszenia. Wybacz mi że nie mogąc patrzeć obojętnie na łzy twoje i szanując boleść twą, tak samo jak gdybyś był moim ojcem, ośmielam się ponieść ci słowo pociechy i zapewnić cię drogi panie, że wcale nie doznasz nieszczęścia którego obawiasz się w téj chwili.

Wiele było siły i prawdy uczucia w ostatnich wyrazach Kartona, jednak pan Lorry nic mu nie odpowiedział, tylko wyciągnął rękę, którą Sydney lekko uścisnął.

— Mając w myśli Darnaya, błagam cię panie Lorry, nie mów jego żonie o mojém postanowieniu względem odwiedzenia go w więzieniu, bo ta wiadomość mogłaby stać się dla niéj powodem wielkiéj niespokojności i przedwczesnego zmartwienia. Ja sam z Łucją widzieć się teraz nie pragnę, chociaż wszystko co będzie w mojéj mocy postaram się dla niéj uczynić. Pan ją zapewne odwiedzisz wkrótce, biedna Łucja! wystawiam sobie ile ona cierpieć musi w téj chwili.

— Idę do niéj natychmiast.

— Cieszy mię to mocno, bo wiem jak kocha pana i jak wielkie pokłada w nim zaufanie; ale chciałbym też wiedzieć jak ona wygląda teraz, czy nie pobladła i nie zmieniła się bardzo?

— Smutna jest i niespokojna, ale zawsze równie piękna.

— Ach!

Wraz z tym wykrzyknikiem długi jęk boleści wydobył się z piersi Sydneya. Pan Lorry przyglądał mu się uważnie, a smutny wyraz jego twarzy przypomniał mu Karola; czarne pukle włosów spływające w nieładzie na szyję Kartona, powiększały bladość jego oblicza.

— Zdaje mi się jakobym słyszał od pana że już ukończyłeś interesa które cię sprowadziły do Paryża?

— Jak mówiłem panu, interesa moje pokończyłem już wtenczas, kiedy niespodziewanie przybyła do mego mieszkania Łucja, a nieszczęśliwe wypadki które spotkały moich przyjaciół zatrzymały mię tutaj. Niedawno znów, po uwolnieniu Karola, myślałem że żadne nie grozi im niebezpieczeństwo i przygotowałem wszystko do wyjazdu, gdy tymczasem mój przyjaciel powtórnie uwięziony został.

Nastała chwila milczenia, którą Karton przerwał temi słowy:

— Jak długo łaskawy panie żyjesz już na świecie?

— Liczę siedmdziesiąty ósmy rok życia.

— Całe twoje życie było obfite w pożyteczne czyny, to też jesteś kochany i szanowany powszechnie.

— Byłem zawsze człowiekiem czynu, bo prawie od lat pacholęcych trudniłem się prowadzeniem interesów.

— W siedmdziesiątym ósmym roku życia jesteś pan jeszcze tak żwawy i czynny, że wielu młodszych od ciebie pozazdrościć ci twoich sił może.

— Ale jestem starym i opuszczonym kawalerem, odpowiedział pan Lorry ruszając smutnie głową i nié mam nikogo, ktoby zapłakał po mnie.

— Jak pan to możesz mówić? czyż Łucja i jéj córka, które kochają cię tak czule, nie zapłakałyby po tobie?

— O, tak jest, tak, dzięki Bogu! nie zastanawiałem się wcale nad tém, co powiedziałem przed chwilą.

— Słusznie pan za to wdzięczny jesteś niebu. Gdybyś robiąc rachunek ze spraw twego żywota, musiał nakoniec wyznać w głębi twéj duszy, że nic nie uczyniłeś takiego, coby zasługiwało na wdzięczność, szacunek lub dobre słowo współbraci, powiedz sam panie Lorry, czy wtedy te siedmdziesiąt ośm lat twego życia, zamiast błogosławieństwem, nie stałyby się klątwą, która za każdy rok marnie przeżyty spadłaby na twoją głowę?

— Masz zupełną słuszność Kartonie.

Sydney spojrzał się na ogień w kominie, a po chwili milczenia rzekł: radbym ci jeszcze jedno zrobić zapytanie; powiedz mi panie Lorry czy te lata dziecinne, kiedy jeszcze siedziałeś na kolanach matki, bardzo odległe ci się wydają?

— W miarę jak jestem coraz starszy i zbliżam się do grobu, wracam się coraz częściéj myślą do téj epoki moich lat dziecinnych i mogę powiedzieć nawet że dzisiaj błądzę ciągle w krainie wspomnień, które dawniéj poczytywałem już za uśpione i wygasłe na zawsze, a muszę dodać, że nie tylko myślą ale i sercem całém łączę się z ukochanemi cieniami dawno przebrzmiałéj przeszłości.

— Rozumiem to uczucie, zawołał Karton z zapałem w oczach i nie wątpię że czujesz pan teraz iż jesteś lepszym.

Po téj rozmowie pan Lorry powstał z krzesła i udał się do mieszkania doktora, dokąd Sydney go odprowadził.

Już wybiła godzina dziesiąta, kiedy Karton pożegnał starego bankiera przed domem pana Manetta i poszedł ku stronie więzienia.

Maleńki tracz spotkał go po wązkiéj uliczce pod murami więzienia la Force i badawczym zmierzył go od stóp do głowy wzrokiem.

— Dobry wieczór obywatelu, rzekł Sydney Karton spostrzegłszy przed sobą małego tracza.

— Dobry wieczór obywatelu.

— Jak się miewa rzeczpospolita?

— Myślisz zapewne o giljotynie? nie źle idą jéj interesa obywatelu, sześćdziesiąt trzy głów dziennie, a spodziewamy się że do stu dojdzie nie długo. Samson i jego pomocnicy żalą się że ogromną mają pracę. Ha, ha, ha! wyborny jest ten Samson, a jaki wyśmienity jest z niego balbierz.

— Czy często widujesz się z nim obywatelu?

— Co dzień widuję go przy robocie, nieporównany balbierz! czy nie widziałeś nigdy obywatelu jak on cudownie goli?

— Nigdy.

— Więc pójdź i zobacz. Wyobraź sobie obywatelu, że zgolił dzisiaj sztuk sześćdziesiąt trzy, a to w tak prędkim czasie, że zaledwie dwa razy zaciągnąłem się fajką, już było po całéj robocie. Słowo honoru!

Kiedy mały człowieczek, trzymając fajkę w ustach zaciągał się dymem, Sydney Karton patrzał się z uczuciem zgrozy na złośliwy wyraz jego twarzy, a zarazem poczuł w sobie chęć niepohamowaną do zgładzenia z oblicza ziemi tego potworu; ażeby zatém uniknąć pokusy odwrócił się od niego czémprędzéj i poszedł w inną stronę.

— Ale pan nie jesteś anglikiem? wołał tracz na odchodzącego, chociaż ubierasz się po angielsku.

— Owszem jestem anglikiem, odrzekł Sydney zatrzymując się na chwilę.

— Mówisz, jak gdybyś był rodowitym francuzem?

— Byłem w szkołach w Paryżu.

— Aha, rozumiem, jesteś więc wybornym francuzem. Dobranoc angliku!

— Dobranoc obywatelu!

Pożegnawszy małego tracza udał się Sydney wprost do apteki.

— Czy dla siebie bierzesz obywatelu te proszki? zapytał z uśmiechem aptekarz, skoro mu Sydney podał świstek papieru.

— Dla siebie.

— Pamiętaj więc trzymać każdy proszek oddzielnie, bo wiesz zapewne jakieby mogły wyniknąć skutki, gdybyś je pomieszał razem.

— Wiem dobrze.

Sydney schował w boczną kieszeń surduta kilka maleńkich paczek i wyszedł z apteki.

Księżyc wzbił się już wysoko, kiedy spojrzawszy na niebo rzekł: — do jutrzejszego rana nie mam żadnego zatrudnienia, ale zasnąć nié mogę. Długo bez celu błądził on po ulicach miasta, a straszne widma dnia dzisiejszego powstawały przed nim, to znów znikały ustępując miejsca zamglonym obrazom przeszłości i widział w tych marzeniach straszne narzędzie nazwane giljotyną, które po kilkadziesiąt ofiar kosiło codziennie, to znów przypominał sobie niektóre wydarzenia ze swojéj młodości i stanął mu w myśli grób ojca na którym czytał niegdyś te wyrazy: „ja jestem zmartwychwstaniem i życiem, rzekł Pan; kto wierzy we mnie ten powstanie z martwych i żyć będzie, a ktokolwiek żyje i wierzy we mnie ten nie umrze nigdy.“

Już mocno zarumieniło się niebo i powstało nakoniec słońce w całéj świeżości i krasie, a Sydney Karton błąkał się jeszcze nad brzegiem rzeki. Usiadłszy na ławce nie daleko od mostu, zadrzemał wkrótce nasz nocny wędrowiec, utrudzony długiém czuwaniem i ogrzany ciepłemi promieniami słońca.— Pan Lorry wyszedł był już dawno z domu, kiedy Karton powrócił do jego mieszkania; nie odpoczywał on tutaj długo, wypił tylko filiżankę kawy, zjadł kawałek chleba, poczém umywszy twarz i ręce i oczyściwszy ubranie, poszedł do miejsca w którém odbywały się sądy.

Wszystkie komnaty przepełnione już były widzami. Nieopodal od ławy na któréj zasiadali sędziowie znajdował się pan Lorry i doktór Manette z córką.

Kiedy Karol Darnay stanął przed trybunałem, wzrok jego spotkał się z wejrzeniem Łucji, ale pełen miłości wyraz jéj oczów, tyle łączył zarazem ufności i męztwa, że w pierś Karola wstąpiła otucha, a lice jego żywym pokryło się rumieńcem i odwagą zajaśniało oko. Snać Sydney Karton doświadczył także zbawiennego wpływu wejrzenia Łucji, bo twarz jego rozwidniła się nagle, skoro wszedłszy do izby sądowéj rzucił na nią okiem.

(D. n.)

UBIORY.

Najpierwszą nowością jaką możemy donieść czytelniczkom naszym, jest, że wszystkie najpretensjonalniejsze kobiety wyszczuplały, od czasu jak wszechwładna pani, moda, zawyrokowała że można pięknie wyglądać nie mając tak olbrzymiego obwodu u podstawy. Spodnice więc robią się koliste i rozpięte na sprężynach tyle tylko, ile potrzeba do uwydatnienia powłóczystych fałdów sukni i przeszkodzenia żeby się one nie zapadały. Białe spódniczki pod suknie prawie całkiem zarzucają, a natomiast fabryki wyrabiają kolorowe wełniane i bawełniane z deseniami naśladującemi falbany koronkowe i t. p. Cena tych spódnic najrozmaitsza. Oglądałyśmy znaczny ich zapas w magazynie p. Włodkowskiego. Tamże sprowadzono wielką ilość materji wełnianéj zwanéj *alpaca* gładkiéj i w paski, na półtora łokcia szerokiéj, łokieć po 3 do 4 złotych. Materjał ten zaleca się połyskiem i trwałością. Pełno jest także popielatych *poil de chèvre* w paseczki i krateczki, pół jedwabnych popelin świetnie połyskujących i innych różnych sztuczek na suknie pod imionami kobiecemi jakoto: Walentyny, Florentyny i t. p. Piękna suknia *Florentine imprimée* kosztuje 20 rubli. Fulary jedwabne i wełniane będą w tym roku bardzo używane; o muślinkach jako za lekkich na majowe chłody jeszcze mowy nié ma. Ale za to okrywki letnie pojawiły się u nas w znacznéj ilości. Są to po większéj części krótkie paletoty lub długie burnusy. Ceny jak zwykle są względne do gatunku i ozdób. Można miéć już wcale piękny jedwabny paletocik za 20 rubli. Letnie zaś burnusy popielate starannie odrobione są po złp. 70 i 80, czarne zwykle droższe.

Dostać można także gotowych sukien z paletotami lub z burnusikami, które zwą się rotondy, a przypominają dawniéj noszone pelerynki kardynałki. Rotondy te z takiegoż jak suknia materjału podobne też mają wygarnirowanie z aksamitek lub falbanek ułożonych w kontrafałdy.

Oglądałyśmy świeżo sprowadzony zapas chustek które wygodnego dostarczyć mogą okrycia. Są one popielate ze szlakiem czarnym

naśladującym koronkę. Cena ich złp. 60. Kapelusze słomiane napełniają wszystkie magazyny nasze, mają bowiem tę dogodność że przy stosowném przerobieniu mogą na kilka lat służyć. Zawsze zdobią je u wierzchołka unikając wszakże owych przesadzonych czubów dobremu smakowi przeciwnych. Okrągłe kapelusze pod różnemi nazwami występują na ten rok jeszcze liczniéj; główki ich w ogólności wyższe opasane kilkoma rulonami z aksamitu zbiegającemi się do umieszczonéj na przodzie kokardy lub strzempiastego piórka, lub téż wcale nie opasane tylko dłuższemi piórami zdobne, ronda szersze lub węższe, zagięte z boków, lub z przodu i z tyłu spuszczone, słowem fantazja ma obszerne pole do ciągłego przemieniania kształtu tych kapeluszy. Widziałyśmy nawet takie słomiane które miały czarne rondo a białą główkę, co przecież z ozdobą czarnego dużego pióra wcale ładnie wyglądało. Ceny tych kapeluszy od 40, do 80 złp. dochodzą. Jedna z prenumeratorek naszych zapytywała coby kosztował kapelusik dla trzechletniéj dziewczynki, na co odpowiadamy że widziałyśmy po cenie 23 złp. kapelusiki dziecinne z czarnego kaszmiru, z rondem w górę wzniesionem a obłożonem popeliną popielatą w białe kratki; z przodu mały pączek z czarnych i białych piórek stanowił ubranie. Przypominamy jednak że koszta przesyłki będą dość znaczne, bo tak dobrze do jednego kapelusza jak do trzech potrzeba drewnianéj paki, w lekkiém bowiem pudełku poczta przesyłek mogących uledz uszkodzeniu nie przyjmuje.

Duże koronkowe kołnierzyki zakończone końcami nakształt pelerynek i małe płócienne zawsze używane. Na naszéj tablicy pod Nrem 11 dałyśmy formę kołnierzyka (z magazynu pana Reichla) który ma być podszyty zarówno z mankietami, grubém płótnem dla zatrzymania krochmalu. Mankiety są takie same jak u mężkich koszul, a przy węższych obecnie rękawach sukien kobiecych dobrze wyglądają. Magazyn wspomniany posiada zawsze wielką ilość bielizny mężkiéj i żeńskiéj, kompletne ubrania dla dzieci, czepeczki, kołnierzyki i t. p.

Przy sukniach są ciągle używane garnirowania lubo może nie tak pretensjonalne, jako też i szerokie szarfy z olbrzymiemi kokardami z boku lub z tyłu pasa umieszczonemi. Wracają się także powoli dawne bawety. Zdawałoby się, że nic nié ma bardziéj niewzruszonego jak biały kolor na ubiór panny młodéj, jednak widziałyśmy że i to mogą zmienić okoliczności, a trudno nam rozsądnéj myśli, która tę zmianę spowodowała, nie pochwalić. Nie dawno odbył tu się ślub na którym panna młoda przyszła, można powiedzieć, *incognito*, bo w popielatéj sukni i czarnéj kapotce. Po wysłuchaniu Mszy Ś. zdjęła w zakrystji kapotkę i włożyła wieniec biały z welonem, jako cechę odbyć się mającego uroczystego obrzędu, po dopełnieniu którego, wróciła znów do zwyczajnego kapelusza i wyszła z kościoła nie będąc wprawdzie przedmiotem spojrzeń ciekawego tłumu, ale też i nie mając na sumieniu, zbytkowego, bo bez żadnego na późniéj zastósowania, sprawunku, jakim jest ślubna suknia, na którą często jeszcze przez próżność takie łożą koszta.

Objaśnienie tablicy rysunków.

Nro 1. i 2. Paletoty mantynowe, ubranie z aksamitek wązkich i koronki.
Nro 3. Szlak do spodnicy: haft angielski.
Nro 4 Kapa batystowa na poduszki: haft atłaskowy.
Nro 5. — 6. Kołnierzyk i rękawki.
Nro 7. — 8. Krawaciki kobiece z mory lub tybetu: wyszycie tasiemeczką, paciorkami i haftem atłaskowym.
Nro 9. Róg do chustki.
Nro 10. Róg chustki z tarczą i cyfrą: haft ściegiem długim przeciąganym.
Nro 11. — 12. Forma kołnierzyka rannego płóciennego i klapki do rękawków.
Nro 13 — 14 — 15 — 16 — 17. Szlareczki do koszul i kaftaników.
Nro od 18 do 34. Cyfry mniejsze i większe do bielizny stołowéj, poszewek i chustek.
Nro 35. Tarcza z cyfrą.
Nro 36. Stanik amazonkowy.
Nro 37. Przód stanika.
Nro 38. Boczek.
Nro 39. Połowa pleców.
Nro 40. Rękaw z klapką.
Nro 41 — 42. Kołnierzyk i rękawki: haft atłaskowy.
Nro 43. Poduszka pod nogi (Puff). Składa się z czterech kwadratów jak ten którego wzór podajemy. Robi się aplikacją na suknie, tło szafirowe, deseń karmazynowy otoczony popielatym sznureczkiem; mogą być i inne kolory według upodobania.
Nro 44 — 45. Czapeczka mężka. Aplikacja aksamitu na kazimierku lub cienkiém suknie.
Nro 46 — 47. Pantofel. Deseń wyszywać tasiemeczką na suknie, gwiazdeczki bajorkiem.
Nro 48 — 49 — 50 — 51. Wstaweczki i szlarki.
Nro od 52 do 58. Cyfry.



Moine Imp. r. St Louis en l'Ile 90. Paris. 127

KOŁKO DOMOWE

Maj 1863

Bibl. Univer. Cracov.